Stron 8 | Str. 3: O PRZESĄDACH SPECJALISTÓW. Str. 4: ANGIELSKA DYSKUSJA O IDEI UNIWERSYTETU | Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. | Londyn, niedziela 9 lipca 1950 | Nr. 28 (159)

ALFRED O'RAHILLY

Przełożył FLORIAN ŚMIEJA

DWIE SIOSTRY

Alfred O'Rahilly jest rektorem irlandzkiego uniwersytetu w Cork. Wypróbowany przyjaciel naszego kraju, czytelnikowi polskiemu jest on znany jako autor biografii Williama Doyle'a wydanej w Krakowie bodajże w 1924 roku. Prócz prac wybitnie fachowych, O'Rahilly napisał szereg popularnych dzieł apologetycznych jak ,Zasady moralne', ,Zasady społeczne', ,Nauka a religia'. Ostatnio ukazały się dwa pierwsze tomy jego dziesięciotomowego cyklu o życiu Chrystusa. Z pierwszego tomu zatytułowanego ,Rodzina w Betanii' pochodzi niżej zamieszczony rozdział ,Dwie siostry', nieco z uwagi na ograniczone miejsce do mej dyspozycji skrócony.

TEKST.

I stało się, gdy szli, a on wszedł do niejakiego miasteczka: a pewna niewiasta, imieniem Marta, przyjęła go do domu swego. A miała ona siostrę, imieniem Marię, która też siedząc u nóg Pańskich, słuchała słowa jego. Marta zaś zabiegała około rozmaitej posługi. A stanąwszy rzekła: Panie, czy nie dbasz o to, że siostra moja zostawiła mię, żebym sama usługiwała? A odpowiadając, rzekł jej Pan: Marto, Marto, troszczysz się i frasujesz około bardzo wiela. Ale jednego potrzeba. Maria najlepszą cząstkę obrała, która od niej odjęta nie będzie.

(św. Łukasz. X, 38-42.)

WYDARZENIE.

JEST to pierwsza wzmianka o Marcie, której imię znaczy pani, żeńska forma od ,mar', pan. Tylko św. Jan mówi o niej raz jeszcze przy wskrzeszeniu Łazarza i podczas wieczerzy w Betanii. Podobieństwo cech obu sióstr jest uderzające we wszystkich trzech wypadkach. Marta jest hojna i drobiazgowa, pragnąca dać dobry posiłek; nieco później usługuje na Jego uczcie pożegnalnej. Maria woli przesiadywać u stóp Mistrza; po śmierci brata znajdujemy Marię w domu, siedzi w milczeniu, a potem przypada do nóg Jezusowych. Nawet w momencie kryzysu praktyczna Marta przypomina Chrystusowi o stanie zwłok Łazarza. Jeżeli chodzi o Marię, wydaje się, że ciągle potrzebuje obrony Chrystusa przeciwko krytykom!

Św. Łukasz w swych dociekaniach znalazł opis tego wydarzenia i nam go zachował. Ale opis ten widocznie nie zawierał nazwy wsi. W każdym bądź razie katechetyczny plan synoptyków — w odróżnieniu od bardziej chronologicznego porządku u św. Jana — nie zawierał wyraźnej wzmianki, jako by Chrystus odwiedzał stolicę przed Wielkim Tygodniem. Jak w rozdz. 7 przyjęliśmy, że ,miasto' oznacza Jerozolimę, tak tutaj możemy uważać ,miasteczko, za Betanię. Bo wiemy przecież, że tu Marta posiadała swój dom. Jest to jedna z kilku wskazówek u synoptyków, że Chrystus był w Jerozolimie przed Swym ostatnim tygodniem. Tym razem odnosimy wrażenie, jako by nikt inny nie był obecny. Może Apostołowie byli w mieście, podczas gdy On odpoczywał w tym przyjaznym domu — nigdzie indziej nie doznał serdeczniejszego przyjęcia, odkąd opuścił Nazaret. Tutaj to spędzał Swe ostatnie noce przed ukrzyżowaniem.

SKARGA MARTY.

Prawdopodobnie Maria z początku służyła pomocą. Doglądnąwszy przygotowania „jednej lub kilku potraw", wymknęła się na miejsce, gdzie był Chrystus i usiadła u jego stóp, aby Go słuchać. Marta, skrzętna gospodyni, postanowiła podjąć Go po królewsku. Będąc niewiastą rzutką i towarzyską oraz dobrą szafarką, myślała naturalnie, że taka posługa najlepiej uwydatni jej przywiązanie. Ale przeszkadzało jej rozdwojenie uwagi: próbowała pracować i słuchać. Wreszcie postanowiła uzyskać pomoc siostry. Współżycie ze świętymi nie zawsze jest łatwe, a szczególnie z takimi, u których przeważa uczucie lub mistycyzm. Fakt ten może wielu dobrych duchownych potwierdzić. Z tej sceny i z uczty w Betanii odnosimy wrażenie, że podział czynności między dwiema siostrami był trochę nierówny: Maria spędzała czas na modlitwie a Marta zwijała się zawsze przy pracy domowej. Dlatego nie wolno nam zbyt winić Marty, jeżeli niekiedy pragnęła wydatniejszej pomocy Marii.

Tym razem nie poszła wprost do Marii. Wydaje się jako by wiedziała z doświadczenia, że taki apel nie wskóra. Zamyśla więc uciec się do Mistrza o pomoc. Podejmuje szybką decyzję. Przerwawszy pracę — przypuszczalnie zajęcia kulinarne podeszła do Chrystusa i wskazując na Marię przykucniętą u nóg Mistrza i zasłuchaną w Jego słowa, spytała: „Panie, nie dbasz Ty, że moja siostra zostawiła całą pracę dla mnie? Proszę, powiedz jej, aby mi pomogła."

Czy jej prośba nie wydawała się rozsądna? Św. Teresa mówi: „Wierzcie mi, że Marta i Maria muszą połączyć swe siły, aby podejmować Pana, aby Go zawsze mieć z sobą i gościć Go godnie nie pomijając żadnego elementu gościnności. Siedząc zawszę u Jego stóp, jakże się może Maria starać o Niego w takiej pozycji, gdyby jej siostra nie pomogła? *(Zamek wewnętrzny, VII 4).*

Chrystus nie potępił Marty za to, że pracowała. Nie kazał jej przyjść i śiąść u Swych stóp, ani też — przeciwnie — nie głosił, iż Marta nie ma nic innego w domu robić jak tylko poświęcać się rozmyślaniom. Maria już coś niecoś zrobiła, zanim usiadła. Marta chciała, aby zrobiła cos więcej. Wezwano Chrystusa, aby rozwiązał delikatny domowy problem! Często przeciwnicy stawiali Mu problemy w rozmowie a On dawał odpowiedzi, które zrazu wydawały się słuchającym jasne i zrozumiałe, ale przy dokładniejszym przemyśleniu ujawniały głębokie, skryte znaczenie. Tak też było i tutaj.

CHRYSTUS BRONI MARII.

„Marto, Marto", zaczął, powtarzając jej imię żartobliwie i osłabiając Swą naganę, „krzątasz się zbyt wiele, starasz się o zbyt wiele rzeczy. Trzeba kilku lub nawet jednej tylko". Treść tego upomnienia jest prosta: Chrystus nie chce tak wyszukanego przyjęcia, jakie Marta przygotowuje. Kilka potraw — a nawet jedna wystarczy... Lubował się w braniu rzeczy, które były pod ręką, jako przykład: brał kwas, chleb, wodę, żniwa, kwiaty, świątynię i przy ich pomocy pouczał.

Od prośby o napój i rozmowy o wodzie źródlanej naprowadził niewiastę z Samarii na rozważanie zagadnień religijnych. Niewieście z Syrii powiedział, że pożywienia nie wolno marnować dla psów i okazał radość, gdy Mu odpowiedziała, że daje swym ulubionym psom jedynie okruchy. Podobnie było z niewiastą z Betanii. Zaczyna li-tylko o jej pracy przy przyrządzaniu strawy i mówi otwarcie, że się zadawala prostym posiłkiem. Czy jest coś złego w takiej uwadze? Czyż nie mówi ona, jak łatwo Go było podejmować? Czyż nie okazał się wyrozumiały wobec gospodyni? Odpowiedź ta była nie tylko troskliwa i grzeczna, ale również bardzo na miejscu. Więc nie możemy jej odrzucić, chyba że chcemy Chrystusa pozbawić wszystkich cech człowieczeństwa. Marta z rozbrajającą prostotą i ufnością donosi Mu o swym drobnym, domowym kłopocie. Prawdopodobnie nie było to po raz pierwszy, że zwróciła się do Niego o pomoc i radę. Tłumaczyć Jego odpowiedź jako wyraz zupełnej obojętności wobec spraw domowych, było by zupełnie nienaturalne. Przedstawianie go jako odrzucającego kłopoty Marty i wpadającego w duchowe uogólnianie, przeczyłoby Jego pełnemu

W SPRAWIE WOJNY ATOMOWEJ

W NUMERZE z 19/20 czerwca „Osservatore Romano" w artykule p.t. „Per la pace" wykazuje obłudę propagandy sowieckiej i satelickiej w sprawie apelu stokholmskiego o, ,pokój'. ,Pokój' dla komunistów oznacza bezapelacyjne poddanie się interesom Rosji, a równocześnie jest to wojna przeciwko tym, którzy zamierzają i „pragną bronić swojej wolności. Wojna szczególnie przeciw katolikom". Wszędzie gdzie tylko panują komuniści, postawa katolików przypisywana jest przez propagandę sowiecką i komunistyczną „wojennym instynktom wyższego kleru", spełniającego rolę posłusznego narzędzia Watykanu jako siedliska głównych podżegaczy wojennych przeciw ,miłującym pokój narodom radzieckim'. Watykan w tej sprawie zresztą jest sam z kolei narzędziem imperializmu amerykańskiego.

Przypomniawszy rolę Sowietów w rozpętaniu ostatniej wojny kiedy to propaganda sowiecka nazwała pakt sowiecko-niemiecki ,narzędziem pokoju', dziennik watykański pisze dalej: „Ludzkość zobaczyła o jaki to ,pokój' chodziło. I właśnie ponieważ zobaczyła, ani nie potrafi zapomnieć, ani też dać posłuchu podejrzanemu pacyfizmowi ,bojowników stokholmskich', tym bardziej, że wspiera się on na systematycznych kłamstwach.

„My zaś (tzn. katolicy; przyp. ŻYCIA) działamy dla pokoju, ponieważ taki jest nasz obowiązek, a w dniu, w którym byśmy o nim zapomnieli, nie bylibyśmy już chrześcijanami. Brzmią jeszcze słowa Piusa XII: ,Nic nie traci się przez pokój, wszystko zaś można stracić przez wojnę! A zostały wypowiedziane właśnie wtedy, kiedy komunistyczna ,racja' wespół z hitlerowską agresją umożliwiła drugą wojnę światową".

Nie potrzeba też katolików nakłaniać do propagandy przeciw użyciu broni atomowych: perspektywy europejczyków są jak najdalsze od wesołości, jeśli jutro może runąć na nich katastrofa nie wiadomo nawet z czyjej ręki, sowieckiej czy amerykańskiej, pisze „Osservatore Romano".

Ostatnio znów kardynałowie i arcybiskupi francuscy w zbiorowym wystąpieniu pasterskim potępili z całą mocą wszystkie atomowe czy biologiczne środki w zastosowaniu do wojny. Nawiązując w Liście swym do apelu stokholmskiego wzywają polityków i mężów stanu, aby doszli do zgody w udaremnieniu tych potwornych srodków zagłady:

„Umiłowani Bracia! Ostatniej jesieni kardynałowie i arcybiskupi Francji wezwali katolików naszego kraju, aby wśród swych współobywateli pracowali skutecznie dla pokoju między narodami. Od tego czasu, niestety, zimna wojna nie przestaje wnosić udręki w serca ludzi, którzy wiedzą, jak przerażające nieszczęścia przyniósłby nowy konflikt światowy. Środki zniszczenia, które wiedza nowoczesna daje do ręki stronom walczącym — bronie atomowe, rakiety, gazy radioaktywne, trucizny biologiczne — świadczą, że straszliwa groźba wisi nad wszystkimi ludami.

„Jest zrozumiałe, że w tej złowrogiej atmosferze, apel stokholmski przeciw użyciu broni atomowych uwodzi liczne szlachetne umysły. Was samych, waszych kapłanów, waszych Biskupów pyta się uporczywie, czy potępimy użycie tych broni. Takie pytanie, kierowane do naśladowców Chrystusa, musi ich gorszyć i oburzać. Nikt, kto posiada (jak to Pius XII powiedział prawie dwa lata temu) ,prawdziwy zmysł ludzkości', nie może uczynić nic innego, jak odrzucić użycie wszystkich nowoczesnych broni, które godzą bez różnicy w walczących i ludność cywilną i na ślepo roznoszą śmierć po przestrzeniach, które rozszerzają się wprost z dnia na dzień, w miarę jak wzrasta naukowa potęga człowieka.

„Jeśli o nas chodzi, my potępiamy je z całą mocą, jak nie wahaliśmy się potępiać masowych bombardowań w czasie ostatniej wojny, które skierowane przeciw objektom wojskowym, równocześnie godziły w starców, kobiety i dzieci. Jesteśmy przekonani, że ludzkość zhańbiłaby rozum, w który Bóg ją wyposażył, gdyby użyła ku złym celom wiedzę, mogącą przynieść tyle owoców dobra. To też zaklinamy mężów stanu, którzy dziś ponoszą delikatną odpowiedzialność, aby nie poddali się straszliwej pokusie użycia tych środków i aby dokonali wysiłku doprowadzenia do wspólnej zgody w absolutnym zakazie ich użycia.

„Tymczasem w tej grozie, odczuwanej na myśl o całym dziele zniszczenia i nędzy, jakie przynosi nawet najsłuszniejsza wojna, chrześcijanin musi bezustannie wznosić się coraz wyżej. Pragnie on, aby prawdziwy duch pokoju zapanował wśród ludów. Rozumie, że w tych decydujących godzinach historii może być dla każdego narodu koniecznym obowiązkiem zgoda na pewną ofiarę z interesu, prestiżu, a nawet z suwerenności. Wie także, że ducha zemsty, czy to między narodami, czy to między jednostkami należy zawsze potępiać i że jest rzeczą złą wywoływać nienawiść do sąsiedniego państwa w oparciu o cnotę tak wielką i szlachetną jak patriotyzm. Jeśli nas więc pytacie co czynić, aby skutecznie pracować dla pokoju — ze szczególnym naciskiem wskazujemy na trzy rzeczy:

„**Po pierwsze**: Czytajcie i przemyślajcie naukę Piusa XII o pokoju, naukę, której nie przestaje nam udzielać i przedstawiać od chwili wyniesienia na tron św. Piotra, zwłaszcza w swych wielkich orędziach wigilijnych. Znajdziecie w nich nie tylko porywające wezwania do zgody i braterskiej miłości między narodami, ale, określone z olśniewającą jasnością psychologiczne i społeczne, ekonomiczne, prawne i polityczne warunki ładu międzynarodowego.

„**Po drugie**: Rozważcie, że odpowiedzialność obywatela nie zatrzymuje się na granicach swego kraju. Musi on kultywować w sobie umysłowość ponadnarodową. Znaczy to, że nie macie prawa nie interesować się dzisiejszymi wysiłkami, aby zapewnić Europie, pomimo tylu dawnych i obecnych rywalizacyj, jedność, dostatecznie silną dla gwarantowania jej wolności, jej bezpieczeństwa, jej dobrobytu. Nie bądźcie prześmiewcami ani sceptykami w obliczu wysiłku niewątpliwie trudnego, lecz nieodzownego. Bądźcie raczej ludźmi dobrej woli, którzy wierzą w Europę zjednoczoną, ponieważ zamierzają ją budować.

„**Po trzecie**: Ani na chwilę nie zapominajcie, że jesteście dziećmi wszechmocnego Boga, bez którego pomocy według słów Psalmisty ludzie daremnie się trudzą, aby zbudować miasto. Módlcie się więc i czyńcie pokutę! Oczyśćcie serca wasze! Przebaczcie wrogom! Bądźcie budowniczymi tej sprawiedliwości społecznej, bez której nie może być pokoju między obywatelami tego samego państwa. Praktykujcie wszystkie cnoty, które unaoczniają chrześcijaninowi obecność Boga! Czy to nie najpiękniejszy i nie najpilniejszy program na Rok Święty? Ufajcie naprawdę, że w tej mierze, w jakiej każdy z nas będzie wytrwale usiłował tego dokonać, będzie skutecznym pracownikiem dla dzieła pokoju wśród ludzi".

człowieczeństwu. Takiej pedanterii w obejściu towarzyskim nie powinno się Chrystusowi przypisywać. Odpowiedź Jego była stosowna, na miejscu i doskonale zrównoważona. Nie potępił Marty za doglądanie do spraw domu, ale rzekł jej, że robiła to przesadnie. Pracowała za dużo, troszczyła się i niepokoiła o zbyt wiele spraw. Niewątpliwie tę naukę prostoty można zastosować także w życiu duchowym. Bezpośrednia aluzja historyczna dotyczy nieustannego usługiwania do stołu. Z tego to konkretnego wydarzenia Chrystus, jak to miał zwyczaj czynić, zaczął delikatnie i nawet żartobliwie uczyć właściwego zrozumienia wartości. Z uśmiechem na ustach napomknął Marcie, że Maria wybrała lepszą cząstkę podejmowania.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że słowo „cząstka" miało umyślnie posiadać dwa znaczenia, możemy je prawie że nazwać Boskim kalamburem. Tego samego słowa używa podczas Ostatniej Wieczerzy. Pozornie mówi Piotrowi, że jeśli chce wieczerzać, musi sobie dać umyć nogi (Jan. XIII 9). Jednak Piotr w swej wybuchowej odpowiedzi wykazuje, że znajduje głębsze znaczenie ‚posiadania' cząstki czy wkładu z Chrystusem. Podobnie słowo ‚cząstka' w odniesieniu do Marii miało znaczenie głębsze. Obie siostry musiały zdawać sobie sprawę, że chodziło o strawę duchową, o „cząstkę" z Nim. One żart zrozumiały...

Czyż nie jest tedy prawdopodobne, że pojęły tę naukę? Z pewnością Marta przestała się zajmować działalnością wyłącznie praktycznego charakteru. Z nią przecież Jezus rozmawiał na tematy teologiczne przed wskrzeszeniem Łazarza. Ona też uczyniła owo wielkie wyznanie: ‚Wierzę, żeś Ty jest Mesjasz, Syn Boga'. Natomiast jeśli utożsamimy Marię z niewiastą z Magdala, to możemy ją jeszcze zobaczyć u nóg Jezusa — na Kalwarii — oraz również jako pierwszą ‚na nogach' rankiem w Wielkanoc, gdy szuka ciała Chrystusa, a potem śpieszącą do apostołów z dziwną wiadomością. Marta bardziej się uduchowiła, a Maria stała się więcej praktyczna.

NAUKI.

Wielu Ojców Kościoła i teologów wybrało Martę i Marię jako przykłady życia aktywnego i kontemplacyjnego. ‚Niech Marta się krząta, lecz niech nie przeszkadza Magdalenie', mówi św. Franciszek Salezy, ‚niech Magdalena się oddaje rozmyślaniom, lecz niech nie gardzi Martą, bo Chrystus ujmie się za strofowaną'...

Nauka ta jest dzisiaj szczególnie potrzebna. Należy się obawiać, że jest zbyt wiele Mart, a nie ma Maryj. Wyłączne zajmowanie się rzeczami konkretnymi — nawet dla sprawy Chrystusowej — naraża na szwank wyższe wartości. Oryginalność Chrystusa polegała częściowo na Jego boskim człowieczeństwie okazanym w trosce o niewykształcone niewiasty, które powołał do najwyższego duchowego żywota. Szczególnie ‚Jezus miłował Martę i jej siostrę' (Jan, XI, 5). Ponieważ ją miłował, pragnął ją oduczyć zbytniego harowania w domostwie. Uczył harmonijnego pojęcia pracy i kształtowania duszy. Nie odrzucał usług Sobie oddanych, nie lekceważył też pracy społecznej. Po Jego odejściu ubodzy mieli zostać z nami, a cokolwiek byśmy uczynili dla najmniejszego z Jego braci i sióstr, miało być poczytane za usługę Jemu okazaną. Jednak zaopatrywanie w środki materialne nie może doprowadzić do wyłączenia wyższych wartości, tak u usługujących jak i u obsługiwanych. Nie wolno używać pracy społecznej do rugowania Chrystusa z życia ludzi. Przywileju Marii odbierać im nie wolno. Nawet najniepokaźniejsza dusza posiada prawo i potrzebę, aby niekiedy spocząć u stóp Jezusa.

My katolicy, natchnieni tą sceną, musimy się w dobie obecnej uodpornić przeciw wyłącznie panującemu naukowemu aktywizmowi, który nie uznaje duchowych aktów miłosierdzia i zaprzecza istnieniu nadprzyrodzoności. Prawdą jest, że pogląd transcendentalny dominował przez wiele wieków, powiedzmy aż do Renesansu. Prostopadły ruch duszy do Boga, koncentrację na UNUM NECESSARIUM rozwijano w sposób zbyt wyłączny i niezrównoważony. W otoczeniu pogańskiego naturalizmu było to prawie nie do uniknięcia. Okazywało się nawet korzystne. Możemy zaobserwować podobne zjawisko — prawie że świecką odmianę życia klasztornego — u pewnych niechrześcijańskich myślicieli doby dziesiejszej jak u Aldousa Huxley'a i Gerarda Hearda, którzy z rozpaczy, że mają bezpośredni wpływ na bieżące wypadki, uważają, że oni i im podobni najlepiej mogą się przysłużyć ludzkości przez pogłębianie wewnętrznego życia kontemplacji i przez stworzenie źródeł energii dla ostatecznego duchowego odrodzenia.

Tymczasem świat dzisiejszy na ogół hołduje ideałowi zasklepionego w sobie immanentyzmu, równoległemu ruchowi, który zmierza do materialnej korzyści człowieka i nauk przyrodniczych, a przeczy istnieniu rzeczy nadludzkich. To stanowisko można zilustrować na przykładzie rozwoju angielskiego prawa poreformacyjnego, które wytworzyło sztuczne pojęcie jałmużny mające odpowiadać teologicznym uprzedzeniom sędziów. Wpierw unieważniono zapis, przeznaczony na odprawianie Mszy św., pod pretekstem, że spadkodawca nie odnosi korzyści z przesądnych praktyk, które nie mogą uchodzić za jałmużnę. Później zapisy takie uznawano na podstawie, że dawały one wsparcie celebrantowi. Podręczniki prawnicze przyznają, że zapis na przytułek dla zbłąkanych psów jest ważnym aktem miłosierdzia, ponieważ przynosi korzyść ludzkości. Natomiast wielki, centralny akt chrześcijańskiego nabożeństwa, zastosowanie Chrystusowej ofiary Odkupienia, sędziowie angielscy uważają za wierzenie, którego obronić się nie da i które nie posiada prawnego zatwierdzenia. Czyli po prostu świecki sąd pozwala sobie definiować dogmat teologiczny...

Prócz faktu, że sąd cywilny wkracza w dziedzinę teologii i przepisuje wyznanie dla części społeczeństwa, dwie ważkie sprawy zasługują na wzięcie pod uwagę. Ta redukcja prawnie uprzywilejowanych czynności ludzkich na korzyść opieki społecznej musi, rozwijana logicznie, prowadzić do komunizmu. Jeśli się nie uznaje służby Bożej, państwo zacznie kierować i kontrolować wszystkie usługi. Będzie się tylko tolerowało ‚Martę' w wydaniu Rosjanki, która wysławiając ideał kobiety zamieniającej się w bezustannego robota, pisała:

‚Jeśli policzymy, ile godzin w roku poszło na modlitwę i odprawianie wszelkiego rodzaju praktyk religijnych, otrzymamy potworną sumę. Jakże ogromne wspaniałe rzeczy mogłyby być wynikiem pracy produktywnej i wszystkim potrzebnej! (Kobieta — stachanowiec w ‚Prawdzie' z 27 marca 1940, cyt. z ‚Life of Faith', ROSALIND MURRAY, 1943, str. 94.).

Nie potrafiąc dojrzeć Tego, który jest obecny, ta nowoczesna Marta stoperem odmierza spokojne chwile Marii. Następny krok to oczywiście skierowanie Marii do najbliższego urzędu Pośrednictwa Pracy...

Niestety, takie to nam się nasuwają dzisiaj refleksje, kiedy rozmyślamy nad tą sielankową sceną w Betanii, tak odległą i spokojną, lecz tak żywą w swych naukach.

Alfred O'Rahilly

MARIA CZAPSKA

GODZINA, KTÓREJ NIE MA

RAZ JESZCZE O KSIĄŻCE VIRGILA GHEORGIU*)

KSIĄŻKA Gheorghiu ukazała się po raz pierwszy w tłumaczeniu francuskim, wydanym w kolekcji wyborowych tłumaczeń **Feux Croisés** (Librairie Plon 1949). Autor nie mógł jej oczywiście wydać ani w kraju, ani po rumuńsku na emigracji. Na okładce czytamy: **roman**, powieść, mimo że fikcja i wątki powieściowe są znikome. A więc, pamiętnik, autobiografia? — Nie inaczej, wszystkie te elementy złożyły się na „Dwudziestą Piątą Godzinę", fikcją posłużył się autor jedynie, aby mnóstwu swych doświadczeń, obserwacji i rozważań nadać ciągłość i konstrukcję całości.

Książka zyskała duży rozgłos we Francji i w innych krajach Europy Zachodniej. Poprzedził ją przedmową Gabriel Marcel, kierownik kolekcji, wyróżniając w ten sposób, jak sam wyznaje, chyba po raz pierwszy książkę wydaną w **Feux Croisés**; przedmowę zadedykował A. Huxleyowi, na pamiątkę, być może, jego przed laty wydanej powieści-utopii pt. „Nowy Wspaniały Świat".

Wiadomo, ile w ciągu ubiegłych pięciu lat pojawiło się tego rodzaju pamiętników pod różnymi postaciami, w różnych krajach i językach świata. Za Żelazną Kurtyną pisano tylko o zbrodniach faszystów, na Zachodzie też o bolszewizmie, a wszystkie te wydawnictwa służyły propagandzie jednego z dwóch światowych imperializmów. Virgil Gheorghiu podciągnął obie te potęgi pod jeden mianownik, ogarnął swoim oskarżeniem cały świat współczesny, całą ludzkość coraz lepiej zdyscyplinowaną, bierną i uległą wobec urzędów państwowych i władzy kapitału.

„Cieszę się — pisze G. Marcel — że we Francji i po francusku ukaże się po raz pierwszy ta piękna i groźna książka... Nie sądzę, by można było znaleźć dzieło bardziej znaczące, które by lepiej ujawniało straszliwe położenie w jakim się ludzkość obecnie znajduje".

To że książka V. Gheorghiu nie może być wykorzystana w celach politycznych ani uchodzić „za wodę na młyn" amerykańskiego kapitalizmu czy też sowieckiego bolszewizmu stanowi najważniejszą jej zaletę.

Malraux zatytułował jedną z pierwszych swoich powieści określeniem Pascala **Condition Humaine** — Dola Ludzka, Los Człowieczy; Juliusz Margolin nazwał ostatnio wydaną swoją pracę o obozach sowieckich **Condition Inhumaine** — Nieludzka Dola, J. Czapski dał swojej książce o Rosji tytuł: **Na nieludzkiej Ziemi**, Koestler: **Ciemność w Południe**, Sperber: **Krzak Spopielały**, Cioran, (także Rumun): **Zarys Rozkładu** (Précis de Décomposition). O książce tej G. Marcel wyraził się, że jest to niby brewiarz rozpaczy.

Tyleż znamiennych tytułów świadczących o niepokoju współczesnego człowieka, tyleż książek, a wymieniam tylko kilka spośród tych, które zyskały pewien rozgłos we Francji, usiłujących udzielić czytelnikom swojej trwogi wobec narastającej katastrofy humanizmu, szukających dróg ratunku przez uświadomienie sobie tego zła. Dlaczego „Dwudziesta Piąta Godzina?" Dlatego, powiada autor, że jest to chwila w której wszelkie próby ratunku są już spóźnione, nawet pojawienie się Mesjasza nie przyniosłoby żadnego rozwiązania. To już nie jest ostatnia godzina, ale ta, co nastaje po ostatniej godzinie.

Fabułę powieści stanowią losy Johanna Moritza, chłopa rumuńskiego i rumuńskiego pisarza Trajana Korugi. Moritz przez swego rywala, żandarma, zostaje wysłany do żydowskiego obozu pracy, mimo że nie jest Żydem, próżne są jego protesty i starania przyjaciół. „W papierach stoi, że jesteś Żydem powiada mu naczelnik obozu, a Żydzi muszą być internowani; o ile się sprzeciwię zarządzeniu będę sam ukarany". Moritz zbiega na Węgry. Podejrzany tam o szpiegostwo zostaje ujęty, storturowany i wydany władzom niemieckim, które go internują w obozie koncentracyjnym. Jakiś wyższy oficer niemiecki, ideolog rasizmu spotkawszy przypadkiem Moritza odnajduje w nim typowe cechy najczystszej rasy nordyckiej, odrośli germańskiego „Rodu bohaterów". Johann Moritz jest włączony do SS-ów ożeniony z równie czystej krwi Aryjką i mianowany wartownikiem w obozie jeńców wojennych. Na wiadomość o zbliżających się wojskach alianckich i za namową kilku Francuzów pracujących przy moście pod jego dozorem Moritz przedostaje się wraz z nimi przez front wojenny w nadziei, że po stronie amerykańskiej znajdzie wreszcie **wolność**. Jednakże, jako Rumun, z narodu sprzymierzonego z Niemcami, ujęty ponadto w mundurze SS-ów zostaje natychmiast aresztowany i traktowany jako zbrodniarz wojenny. Przechodzi śledztwa, badania i jest odsyłany z obozu do obozu. W tej wieloletniej poniewierce i niczym w jego sumieniu nie zawinionej krzywdzie, Moritz zatraca stopniowo pojęcie słuszności i sprawiedliwości, nie sądzi wypadków. W jednym z obozów spotyka Moritz Trajana Korugę, który jako Rumun, żonaty z Żydówką, przechodzi podobne koleje losu.

Moritz jest prostym człowiekiem, który wyniósł z domu i nauk cerkiewnych podstawowe pojęcia dobra i zła, po pierwszych próbach ratowania się, po których Żydzi mają go za renegata a zwierzchnik za kłamcę, znosi swój los z coraz większą biernością, nie probuje nawet prostować, żonę jego zmuszają do podpisania listu rozwodowego — inaczej cała ich skromna posiadłość będzie skonfiskowana; jakżeby Suzanna wykarmiła dwoje dzieci bez domu? Moritz spełnia rozkazy coraz bezmyślniej, coraz lepiej wytresowany nieustannym lękiem, do końca, do samego dna męki, zachowując wrodzoną sobie ufność i życzliwość w stosunku do swoich towarzyszy i jakieś dziecięce zdziwienie, podświadomą nadzieję w zmianę losu, przełamanie się zła.

Trajan Koruga to typowy intelektualista i poeta. Trajan się nie pogodzi i nie chce pogodzić ani z niedorzecznym losem swoim, ani ze światem poniewierającym człowieka, światem zmechanizowanych ludzi-robotów i ich bezduszną biurokracją. Trajan buntuje się i protestuje wszelkimi sposobami jakimi tylko rozporządza więzień obozu amerykańskiego: petycjami, wyjaśnieniami, głodówką aż do ostatniego aktu protestacyjnego śmierci samobójczej. Trajan spotyka w obozie swego ojca, niedostrzelonego przez bolszewików prawosławnego księdza, któremu w szpitalu niemieckim amputowano obie nogi. Moritz, po trzynastu latach, schodzi się w innym obozie z żoną swoją Suzanną, która uszła przed terrorem sowieckim z dwoma synami i trzecim dzieckiem z rosyjskiego żołnierza. Książka kończy się na wypowiedzeniu wojny Sowietom. Cała wielojęzyczna ludność alianckich obozów Europy Zachodniej zgłasza się masowo na ochotników do Armii amerykańskiej, wraz z żonami i dziećmi. Dla nich jest to ostatnia szansa wydostania się poza druty — przejdą z obozu do koszar. Ale Amerykanie triumfują obserwując wśród Dipisów „żywiołowy entuzjazm" i „niezachwiane oddanie" ich sprawie...

Poza głównymi postaciami Moritza, Trajana i jego ojca księdza Korugi mamy całe mnóstwo figur drugo i trzecioplanowych. Osoby te są na ogół zaledwie obrysowane, przeważnie jednobarwne, niezróżnicowane. Zamierzeniem autora nie było stworzenie powieści psychologicznej, odmalowani przez niego ludzie to formy poniżenia i krzywdy człowieka, to jego jęk rozpaczy, krzyk buntu i potępienia.

Rozważania księdza Korugi, które zawierza synowi w przedśmiertną godzinę, streszczają myśl przewodnią autora **Dwudziestej Piątej Godziny**:

„Oto jest zbrodnia technicznego społeczeństwa — powiada ksiądz. — Zabija ono żywego człowieka, poświęcając go teorii, abstrakcji, planowi. Jest to nowa forma składania człowieka na ofiarę; płonące stosy zastąpiono jedynie biurem i statystyką — dwa współczesne mity społeczne, których ogień trawi ludzkość wydaną im na pastwę. Samo życie człowieka urwie się z chwilą, kiedy się je ograniczy do funkcji społecznej, funkcji automatycznej, do praw rządzących maszyną. Te prawa nie zdołają nigdy nadać sensu życiu ludzkiemu. Sens życia zawarty jest wyłącznie w indywidualiźmie, wewnętrznej tajni jednostki... Współczesna społeczność dawno już tych praw nie uznaje... I dla tego Ren, Dunaj i Wołga toczą dziś łzy niewolników. Te same łzy wypełnią łożyska wszystkich rzek europejskich i rzek całego świata, dopóki morza i oceany nie wystąpią z **brzegów, przepełnione** tą goryczą ludzi zniewolonych Techniką, Państwem, Biurokracją, Kapitałem...

Można zarzucić autorowi, że w swoich uproszczeniach i schematyźmie nie zawsze jest sprawiedliwy i bezstronny. Nie może być bezstronny człowiek poddany torturom. Ludzie na stanowiskach dzielą się w ujęciu Gheorghiu na ślepych, okrutnych fanatyków i na bezmyślnych robotów, kierujących biurokratyczną mechaniką. Autor nie wdaje się w rozróżnienie problemów i ich złożoności, w analizie chaosu dążeń i pojęć ludzkich. **Dwudziesta Piąta Godzina** byłaby książką niechrześcijańską mimo pięknej postaci Księdza Korugi i modlitwy Trajana u stóp krzyża z tektury **Menu Unit**, niechrześcijańską ze względu na swoją beznadzieję, grzech przeciwko Duchowi Świętemu, gdyby nie jedno zdanie włożone w usta konającego:

„W końcu Bóg ulituje się nad człowiekiem, jak to uczynił już wielokrotnie; kilku ludzi z tych, którzy naprawdę są ludźmi — pozostaną wyniesieni jak kiedyś Arka Noego — ponad winy wielkiej zbiorowej klęski. Dzięki nim plemię ludzkie zostanie uratowane..."

Maria Czapska

W 18/149 nrze ŻYCIA obszernie omówił głośną książkę rumuńskiego pisarza prof. W. Folkierski. Dziś wracamy do niej raz jeszcze ze względu na wagę tego niemal dokumentu, który tak wymownie, choć w grubych skrótach, obrazuje beznadziejność ślepej uliczki, w jaką zabłąkał się świat dzisiejszy, utraciwszy prawdę o najwyższej godności człowieka, jako dziecka Bożego. RED.

*) Por. ŻYCIE, nr. 21/22 (152/153) C. V. GHEORGIU — Kaplica obozowa

WITOLD RAWSKI

O PRZESĄDACH SPECJALISTÓW

KAŻDY z nas nosi w sobie coś ze zboczeń specjalisty, z jego niewybrednej pychy i infantylizmu równocześnie. Specjalista, dlatego że jest specjalistą, usiłuje nam narzucić opinię o rzeczach, o których — jak się to mówi w języku potocznym—nie ma „żadnego pojęcia": słuchaj ślepo tego ‚co mówię o religii albo o małżeństwie, ponieważ doskonale znam się na elektryczności czy operowaniu ślepej kiszki; nie odzywaj się, gdy ja mówię o literaturze, ponieważ jestem znawcą prawa kanonicznego czy teologii moralnej... Wchodzimy tu w cały las przesądów jakże podobnych w pochodzie choć różnych w wysłowieniu, do przesądów średniowiecznego astrologa, czy dzisiejszych przesądów demokracji postępowej. Jest to naprawdę jeden z ważniejszych problemów, który ma dziś do rozstrzygnięcia inteligent: wyrobienie w sobie uodpornienia na przesądy „specjalistów" przy równoczesnym posługiwaniu się ich wiedzą fragmentaryczną, ułamkową.

Był taki osobliwy malarz-poeta-mędrzec angielski w końcu 18 i początkach 19 wieku. Jego rysunki może bardziej zadziwiają niż zachwycają wędrowca po różnych galeriach, ale każą myśleć, zastanawiają. To trochę polski Norwid zachowawszy wszelką proporcję, należną naszemu poecie-rysownikowi-filozofowi. Z powodu W. Blake'a równo 40 lat temu napisał G. K. Chesterton rzecz przeciw „Systemom i przesądom chwili", z której warto zacytować garść wyjątków. A trzeba na wstępie dodać jeszcze i to, że wypowiedzi Chestertona obracają się koło polemiki wielkiego Blake'a z modnym i łatwym ilustratorem owych czasów Stothard'em. Mniejsza o protagonistów, chodzi o chór, to jest o samego Chestertona.

„Ani mi w głowie tłumaczyć się (pisze G.K.C.), że zatrzymam się dłużej na tym epizodzie, bo to jest sprawa zasadnicza. Warto ów spór rozważyć ma on wartość symboliczną,ważną dla całego świata artystycznego i dla zagadnienia sztuki samej. Jest to bowiem spór pomiędzy artystą, który równocześnie jest poetą, a drugim artystą, który jest tylko malarzem, „nakładaczem farb". W wielu swych dziełach Blake był pod względem czysto technicznym, lepszym i śmielszym artystą niż nasz Stothard. Ale jednak jestem skłonny twierdzić sam, a myślę, że godzi się z tym wielu tych, którzy porównywali obie serie obrazów — w tym wypadku ilustracje do „Pielgrzymów z Canterbury" Chaucer'a — że kompozycja Stothard'a jako dzieło czysto malarskie i rysunkowe stoi wyżej od analogicznego dzieła Blake'a. Ale właśnie o to nie chodzi, albo, wyrażając rzecz trafniej, to stwierdzenie jeszcze dobitniej podkreśla całą sprawę. Chodzi tu bowiem o walkę, o turniej pomiędzy artystą, który pragnie być jedynie artystą, a innym rodzajem artysty, który ma wyższą, śmielszą ambicję, aby być człowiekiem. To jest, w tym wypadku, niemalże archaniołem.

„Sprowadzając zagadnienie na inną płaszczyznę, spytajmy czy jest potrzebą artysty, aby był uniwersalistą, czy też raczej przystoi mu być technicznym specjalistą?

„Przeciw specjalistom, to jest przeciw ludziom, którzy wyłącznie pracują nad sztuką czy elektrycznością, albo, inaczej, nad grą na skrzypcach czy też nad piorunem — czy ja wiem, wreszcie, nad czym? — istnieje jeden jedyny, lecz zato naprawdę poważny argument, który dla tej czy innej przyczyny nigdy nie bywa używany. Zwykle mówi się, że specjaliści, to istoty **nieludzkie**. A to jest najzupełniejszy fałsz. Mówi się zazwyczaj, że eksperci to nie ludzie. Ja jednak sądzę, że to jest twierdzenie niesprawiedliwe i nieżyczliwe. O, nie, najmilsi! Po stokroć nie! Rzeczywista prawda o specjalistach czy ekspertach jest o wiele bardziej zadziwiająca; wprost oszałamia.

„Cały bowiem kłopot ze specjalistą nie polega na tym, że nie jest on człowiekiem. lecz na tym, że jest on człowiekiem aż nadto! Jest to bowiem człowiek z tłumu, najpospolitszy i najzwyklejszy w tym wszystkim, w czym nie jest specjalistą lub ekspertem. I tu leży wielki błąd opinii w sprawie tak zwanej b e z s t r o n n o ś c i m ę ż ó w n a u k i.

„Otóż sprawa byłaby prosta i szczęśliwa, gdyby ludzie nauki nie posiadali żadnych pojęć i opinii spoza swego warsztatu naukowego; niezmiernie szczęśliwa, rzecz jasna, dla wszystkich innych ludzi z wyjątkiem ich samych. Tymczasem bieda w tym, a rzeczywistość pozwala nam to stwierdzać niemal codzień, że tak zwani mężowie nauki dalecy są od tego, by nie posiadali żadnych innych myśli — oprócz tylko tych ze „swego terenu". Wręcz przeciwnie! Posiadają oni, a mówiąc prawdę — są posiadani zazwyczaj przez myśli, przesądy, opinie najordynarniejsze i najpospolitsze; „posiadani" są przez najbanalniejsze nastawienia panujące w ich otoczeniu, w ich kaście. Jeśli by naprzykład biolog nie posiadał żadnego w ogóle zdania w sprawach sztuki, mogło by to być zupełnie zadowalające. Na nieszczęście ów biolog bardzo często podziela najfałszywsze i najbardziej opaczne poglądy na sztukę czy moralność, jakie właśnie mają kurs w eleganckim towarzystwie jego czasu.(...)

„Streszczam się. Niebezpieczeństwem, które czyha na artystę, wprawnego jedynie w technice swej sztuki, lub eksperta o jakiejś wyłącznej specjalności, polega na tym, że stają się oni przeważnie snobami lub przeciętnymi głupcami w tym wszystkim, co nie wchodzi w ich wyłączną dziedzinę. I oto w każdym wypadku, w którym taki człowiek nie jest naprawdę wyjątkowo niezwykłą indywidualnością, staje się — i jest — wyjątkowo głupim i niezwykle przeciętnym człowiekiem.

„Sam fakt, że skoncentrował się cały, naprzykład, na studium, jak używać karabinów maszynowych przeciw Francuzom, wskazuje najwyraźniej na to, że tym samym zupełnie nie zna Francuzów. Dlatego też będzie zapewne twierdził, że Francuzi, to taki gatunek ludzi, którzy zjadają żaby. Sam fakt, że ktoś nauczył się, naprzykład, malować światła i cienie na średniowiecznych zbrojach wskazuje, że nie ma pojęcia o średniowiecznej filozofii. Skądżeby znalazł na to czas? To też będzie on napewno zdania, że średniowieczni feodałowie nie zajmowali się niczym innym, jak zamykaniem poddanych do ciemnych lochów pod poziomem fosy zamkowej. Cała sztuka osiemnastego i początku dziewiętnastego wieku — a mówię tu o sztuce malarskiej — była niezwykle upośledzona przez konwencjonalizm i brak ogólnej kultury artystów. Ludzie zwykli mówić o pedantyzmie ekspertów, o ich wiedzy technicznej, tymczasem jest niezbitą, prawdą, że właśnie bezmyślność i ignorancja ekspertów i specjalistów stanowi ruinę kultury i duchowego poziomu ludzkości."

Gdybyż to chodziło o sprawy błahe, mówi dalej autor. Zazwyczaj chodzi o rzeczy wagi największej. Specjaliści (naukowi) są jak malarze ignoranci, którzy gwałtem pragną wymalować wszystko, o czym czytali w najtańszych podręcznikach dziejów lub w bulwarowych powieściach. Mówiąc inaczej — ekspert nie potrafi (bo jest tylko cząstkowym ekspertem, ułamkowym znawcą) uciec przed przesądami własnych czasów. Wręcz przeciwnie: stoi jak najbardziej na oścież otwarty na najgrubsze i najmniej wartościowe wpływy epoki. Specjalista, trzeba to powtarzać, nie umie, nie chce, nie może oprzeć się przesądom. To jego specjalność czyni go ofiarą najbardziej chwilowych i najbardziej nieaktualnych przeoczeń i zabobonów.

Dlatego nakazem naszego czasu jest łączenie się w zespoły. Widzimy ten ruch w różnych punktach globu; zespoły specjalistów najróżniejszych dziedzin, którzy wymieniają swe cząstkowe zdobycze między sobą. Jest to jakby rodzaj świeckich klasztorów, w których ludzie nauki w trudzie uczciwego badania dochodzą zbiorową współpracą do realizmu i spokojnego objektywizmu. Nowoczesne odkrycia zrodziły tak kolosalne ilości problemów do rozwiązania, że wysiłek najgenialniejszego specjalisty zdolny jest ogarniać tylko małą cząstkę nawet własnej specjalności. Rezultaty ostatnich odkryć, np. atomowych, powstały w wyniku współpracy tysięcy i tysięcy mózgów. W ruchu badań zbiorowych, tylko że na znacznie większą ilościowo skalę, jest coś z zespołowego wysiłku średniowiecza, kiedy to uczeni żyli w świadomości, że człowiek prawdy nie tworzy: odkrywa ją tylko i odkrywa cząstkowo. A to dzieło odkrywania prawdy jest główną legitymacją myślącego człowieczeństwa.Jest tak olbrzymie, że wymaga powszechnego, zbiorowego wysiłku. — Wielu było genialnych filozofów, pisał o. J. Woroniecki, ale największym z nich jest myśląca ludzkość.

Ta praca w zespołach, pozwalając człowiekowi znać dobrze jedną rzecz, broni go równocześnie przed wynaturzeniami jednostronności. Jest ratunkiem człowieczeństwa pełnego.

Witold Rawski

ZOFIA BOHDANOWICZOWA

ALMA MATER VILNENSIS*)

SIEDZĄC w pięknym i najbardziej polskim zakątku tej wyspy, w Penrhos, mam możność obserwowania polskiego życia kulturalnego w Londynie — z perspektywy przestrzeni i do pewnego stopnia czasu, jako że wieści ze świata docierają tu z opóźnieniem. Owo patrzenie z oddali ma tę zaletę, że się nie widzi całego kłębowiska drobiazgów powszedniego dnia londyńskiego, a tylko zarysy dzieł i prac, które powstają conajlnniej w ciągu miesięcy.

Otóż widzę stąd coraz wyraźniej, jak pękają lody wielkiego kryzysu wydawniczego, jak obojętność społeczeństwa i bezradność wydawców ruszyła z miejsca i odpływa niby wielka góra lodowa, a na jasnych wodach ukazują się wesołe łodzie żeglarskie — coraz to nowe wydawnictwa. Oto Veritas ze swoim bogatym i śmiałym planem wydawniczym sunie jak okręt, oto płynie „Kołyma" ufundowana z wysiłków społeczeństwa, oto już w stoczniach drukarskich buduje się „W Polsce między wojnami" Giertycha, oto kołysze się „Oficyna poetów i malarzy", która jak włoska barka wydaje się być pełną pieśni i róż — i oto rusza w drogę żwawy akademicki kajak: książka wydana przez Społeczność Akademików Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie — „Alma Mater Vilnensis"*). Kajak, co lekko i znienacka wypłynął w świat, ale posiada tonaż okrętu.

Niewprawne pióro moje sięga do prozy, choć o tej książce ze względu na jej temat należałoby pisać wierszem greckim.

Książka zawiera historię powstania i działalności Społeczności Akademickiej USB od 1939 r., obejmując różne kraje, oraz smutne dzieje akademickiego roku 1939/40 w Wilnie; podaje materiały z odbytych w Londynie wieczorów inauguracyjnych, które wskrzeszają w coraz jałowszej pamięci emigranckiej nazwiska, fakty i daty z historii kultury polskiej; zamieszcza list otwarty profesorów wileńskich o likwidacji Uniwersytetu do profesorów uniwersyteckich całego świata oraz odpowiedź litewską na ten list; szereguje wreszcie w długą listę nazwiska profesorów, przy których kolejno mijają się zdania: rozstrzelany przez Niemców, wywieziony do Rosji, zamordowany w Katyniu, wykłada na uniwersytecie w Buenos Aires, w Nowym Jorku, w Leodium...

Społeczność Akademicka obejmuje wszystkich rozsianych po świecie, żyjących jeszcze profesorów, docentów, pracowników i wychowanków USB, oraz ludzi, którzy, związani duchowo z Wilnem, przyczyniają się swą pracą kulturalną do chwały miasta i jego Wszechnicy. Powszechność tej świątyni nauki i cnoty — w oderwaniu od jej dóbr materialnych — ma w sobie coś z powszechności Kościoła. Jest nieutwierdzona geograficznie, obejmuje całą ziemię: gdzie są i pracują naukowo ludzie z USB, tam jest USB. Wygląda to tak, jakby z Polski, gdzie niebezpiecznie wspominać głośno o tem, że istniał w Wilnie Uniwersytet Stefana Batorego, — jakby z tej Polski Wszechnica Batorowa, zgodnie z wypisanymi na jej murach słowami: Hinc itur ad astra wypłynęła wyżej i większe objęła przestrzenie.

Uniwersytet trwa. A jeśli powymierają ludzie, zostaną ich dzieła i zostanie książka „Alma Mater Vilnensis", która będzie łączącym ogniwem między akademikami wileńskimi z przed 1939 roku i tymi nowymi, co przyjdą.

Na marginesie tej książki możnaby napisać tak wiele, że powstałaby druga książka. Trudno się powstrzymać od wyrażenia tu choćby kilku najbardziej rzucających się w oczy wniosków i refleksji.

Zespolenie USB z miastem było wyjątkowe i jedyne w Polsce. Ani Warszawa, ani Lwów, ani Poznań, ani nawet Kraków, którego Akropolem jest Wawel, nie łączyły się ze swoimi uniwersytetami w taką jedność jak Wilno. Budynki uniwersyteckie wyrosły w samym sercu miasta, w miejscu czcigodnym historycznie, najbardziej żywym kulturalnie i administracyjnie, w pobliżu muzeów, bibliotek, urzędów. A raczej było to odwrotnie: owe biblioteki, urzędy, pałace, kościoły powstawały naokoło murów uniwersyteckich. Wieża Świętojańska górowała nad miastem, zewsząd ją było widać. Architektoniczne piękno miasta rodziło się w aulach Uniwersytetu (Gucewicz); jego malarstwo dawniejsze i ostatnia Szkoła Plastyków wyszły z uniwersytetu (Smuglewicz, Ruszczyc, Slendziński). Najpospolitsze skojarzenia myślowe przeciętnego Polaka często też prowadzą do owej nierozłączności miasta i Uniwersytetu. Bo powiedzieć komuś: Wilno, — pomyśli: Piłsudski, wskrzesiciel Uniwersytetu, albo: Mickiewicz, filareci, Uniwersytet. Gdy się sięga w głąb historyczną, powiązania te występują równie silnie. Postacie związanych z Wilnem królów, kaznodziejów, poetów wychylają się z tła Akademii jak z ram obrazu.

Rola dziejowa USB i Wilna w swym szczytowym punkcie określona została przez Staszica: „Gdyby światło nie zapaliło się w Wilnie, zgasłoby w Polsce całej". Ale ponieważ USB trwa i trwa Wilno, zrozumiałem jest, że i rola dziejowa nie dobiegła końca przeznaczeń. Wilno wplątane w samo centrum odwiecznych zmagań wschodu i zachodu, przedziwnie związane w swych najradośniejszych przeżyciach ze świętami Wielkiejnocy (Wielkanoc 1661 r.: szturm Paca wydobywający Wilno z sześcioletniej niewoli moskiewskiej; Wielkanoc 1919 r.: wkroczenie wojsk polskich), Wilno, zabijane orężem, a utrzymujące się przy życiu siłami ducha i promieniujące tymi siłami aż po za wschodnie granice, — ma może czekającą je dalszą misję, nie na polski wewnętrzny użytek, misję, powiedzmy, na eksport do kraju, gdzie zapotrzebowanie na wartości duchowe jest olbrzymie i rość będzie stale.

I czy misja ta nie została podjęta w Fatima przez tę samą Misjonarkę, która z Ostrej Bramy z tak bliska patrzy na cierpienia milionów ludzi?

Zofia Bohdanowiczowa

***) Alma Mater Vilnensis, wyd. w Dziesiątą rocznicę przerwania normalnej pracy USB. Nakład Społeczności Akademickiej USB. Str. 127. Cena 6/6.**

M. LURCZYŃSKI

SPOTKANIE

To którejś nocy ulic czarne dno
Krokom bezsennym wtórowało echem —
Lampy — tu — owdzie — światła wątłą strzechą,
Kamieniem indziej przeciw wspiął się most.

Z popiołu mroku wtedy — stamtąd? — stąd?
On wyszedł nagle nie kłamiąc oddechem —
Florencji exul — więc-żem się z pośpiechem
Przed cieniem schylił, ze strachem i czcią.

A on mnie minął i stanął i stał
(Dreszczem jak gdyby wiatr od rzeki wiał),
A potem ręką kreśląc ruch zawiły:

— Tobie to mówię, wędrowcze jak ja:
Śpiewałem piekło i czyściec i raj,
Na opis cierpień ziemi zbrakło sił. —

BRONISŁAW JEŻOWSKI

SPRAWY ANGIELSKIE

ANGIELSKA DYSKUSJA O IDEI UNIWERSYTETU

W OSTATNICH tygodniach B. B. C. nadało serię odczytów opublikowanych następnie w tygodniku „The Listener" na temat „The Idea of a University". Odczyty te wygłoszone zostały przez brytyjskich przedstawicieli świata naukowego zarówno reprezentujących nauki humanistyczne jak i nauki ścisłe. Poglądy ich stanowią wysoce charakterystyczny przykład dyskusji dotyczącej jednego z podstawowych zagadnień każdego nowoczesnego społeczeństwa. Wydaje się więc, że reasumpcja tej dyskusji powinna zainteresować nas, Polaków, i może skłonić do skontrolowania naszych poglądów na Ideę Uniwersytetu w zestawieniu z tym, co mówią Brytyjczycy.

Zakres zagadnień poruszonych w dyskusji radiowej był szeroki; jako główne zagadnienia należałoby wyodrębnić: problem celów, którym uniwersytet ma służyć i środków, które wydają się najpewniej prowadzić do tych celów.

W zakresie zagadnienia celów dyskusja obracała się wokół dwóch linii: jedni mówcy uważali, że głównym celem uniwersytetu jest produkowanie specjalistów, fachowców w określonych zawodach i profesjach, inni zaś, że uniwersytet ma obok tego pierwszego celu, lub nawet nade wszystko dążyć do rozwijania wiedzy i kultury, dać studentowi wykształcenie w ogólniejszym znaczeniu i zakresie, słowem — być ośrodkiem wiedzy i kultury wytwarzającym określony typ człowieka. Stosunek do tych celów, pogląd na ich kolejność i na środki do urzeczywistnienia ich różnią się znacznie u poszczególnych referentów.

P. *Michael Oakeshott*, Fellow Nuffield College w Oxfordzie, wygłosił pierwszy wykład cyklu i zwrócił w nim uwagę na koncepcję uniwersytetu jako korporacji i organizmu, którego celem jest rozwijanie wiedzy przez zbiorową pracę jego członków. Uniwersytet powinien żyć w pewnego rodzaju odosobnieniu od świata zewnętrznego w tym znaczeniu, że społeczeństwo nie powinno wpływać z zewnątrz na życie i organizację uczelni. Uniwersytet jest dla p. Oakeshott'a rozmową: rozmową — współpracą uczonych, która jest współczynnikiem rozwoju nauki i rozmową uczonych ze studentami, która jest współczynnikiem kształcenia i wytwarzania typu człowieka danej kultury.

Ten rys koncepcji p Oakeshott'a, w której uniwersytet jest swoistą „Ivory Tower" wieżą z kości słoniowej, dla kapłanów i adeptów nauki i kultury został poddany krytyce przez Lorda *Lindsey of Birker*, b. Mastera Balliol College w Oxfordzie. Lord Lindsey przypomniał na wstępie, że historycznie rzecz biorąc, uniwersytety powstały jako szkoły kształcące do profesji: duchowej, lekarskiej i prawniczej. Ten cel musi być respektowany i dziś musi się go pogodzić z nabywaniem, szerzeniem i rozwijaniem wiedzy w różnych dziedzinach. Nadto uniwersytet ma uczyć samodzielnego myślenia i samodzielnej pracy naukowej. Czysto techniczne przygotowywanie do zawodów powinno być zostawione szkołom zawodowym. To co w zakresie przygotowania do zawodów ma robić uniwersytet, stanowi wyższy zakres i ma twórczy charakter. Lord Lindsey silnie podkreślił trudności, jakie uniwersytety napotykają w związku ze wzrostem liczby studentów a także „departamentalizmu" — przerostem niezależności wydziałów. Te okoliczności ograniczają bezpośredni kontakt uczonych i studentów. Poza tym rozwój nauk ścisłych i wytwarzanie się nowych dziedzin badań sprawia, że we współczesnym uniwersytecie student prawa nie ma wspólnego języka ze studentem np. fizyki. Uniwersytet produkuje studentów humanistyki i nauk społeczno-politycznych, którzy nie rozumieją ducha i roli nauk ścisłych, podobnie jak przedstawiciele tych ostatnich nie doceniają ogólnych humanistycznych wartości kulturalnych i ich naukowych podstaw. Rozważając różne środki zaradcze na te kłopoty Lord Lindsey przypomniał o programie Instytutu Technologicznego w Zurychu, gdzie w programie studiów technicznych studenci musieli przejść pokaźny kurs ekonomii, języków obcych, filozofii; podobne postulaty są urzeczywistniane w wyższym szkolnictwie technicznym w USA. Zdaniem Lorda Lindsey'a kurs nauk humanistycznych powinien być obowiązkowy dla wszystkich innych wydziałów uniwersytetu, choćby to miało nawet być kosztem przedłużania okresu studiów.

Profesor *R. Pascal*, wykładający germanistykę w Manchesterze i następny mówca, poza główną swą tezą, która przedstawia zasadę kompromisu i drogi pośredniej pomiędzy tym, co jest linią „Ivory Tower", a koncepcją uniwersytetu będącego ‚handmaidem' życia i zadań praktycznych, omawiał problem religijnych wartości, w których odrodzeniu w życiu uniwersyteckim można by szukać drogi wyjścia. Polemizując z poglądami Sir Waltera Moberley, który w książce „The Crisis in the University" położył nacisk na odrodzenie religijne w życiu uniwersytetu, prof. Pascal tłumaczy ten kryzys kryzysem ogólno-społecznym, pochodzącym z rewolucji technicznej i społecznej, które rozpuszczają starą strukturę społeczną. Każde prawdziwie naukowe studium i praca na szczeblu uniwersyteckim mogą i powinny zawierać aspekty moralny i społeczny. Studia w zakresie nauk ścisłych nie wymagają reformy zdaniem prof. Pascal'a; reformy wymaga studium humanistyczne, które powinno być pełniejsze i wszechstronniejsze. W szczególności uniwersyteckie studia języków obcych winny być uzupełnione studiami historii i ogólnego dorobku kulturalnego odpowiednich narodów.

Vice - kanclerz Uniwersytetu w Leeds, *dr. Morris* poświęcił główną część swych uwag analizie współczesnych metod studiów w zakresie nauk ścisłych. Te studia i ich samodzielny, odrębny charakter wytwarzają specjalny typ studenta i pracownika naukowego różniący się od studenta nauk humanistycznych; jego kontakt z uczelnią i wykładowcami znacznie ściślejszy. Ten rodzaj naukowca i studenta uważa dr Morris za ważki dorobek naszych czasów. W konkluzjach wysuwa problem równowagi: zarówno w naukach ścisłych, jak i w naukach humanistycznych musi się brać pod uwagę obok czynników czysto racjonalnych również elementy moralne i estetyczne: zagadnienia życia ludzkiego powinny być rozważane w ich całości.

Piąty wykład wygłosił profesor fizyki Uniwersytetu w Manchester, prof. *Blackett*. Głównym zadaniem uniwersytetu jest, jego zdaniem, przygotowanie studenta do zawodu. Pogląd według którego uniwersytet powinien przede wszystkim dawać ogólne wykształcenie i wytwarzać określony typ człowieka danej kultury, p. Blackett uważa za pozostałość minionej epoki; epoki, w której główną profesją poza duchowną, do której przygotowywał uniwersytet, była profesja „country gentleman" oraz „man about the town". Prof. Blackett sądzi, że uniwersytety brytyjskie dobrze spełniają swe główne zadanie — rzeczywistego przygotowania studentów do wykonywania ich odpowiednich zawodów i profesji. Wysiłki reformatorów powinny iść w kierunku poprawy materialnych warunków życia studentów zarówno w środowiskach rodzinnych, jak i uniwersytetach. Prof. Blackett w końcowej części swego wykładu wyraził ubolewanie, że w ogóle podnosi się kwestię rzekomego kryzysu uniwersytetu: kryzysu nie ma, a podobne dyskusje przynoszą tylko szkodę.

Sir Walter Moberley, autor książki „The Crisis in the University" w ostatnim wykładzie cyklu podsumował dyskusję i silnie podkreślił jedną z głównych myśli przewodnich swej książki, to jest możliwość rozładowania kryzysu przez pogłębienie elementów religijnych w życiu uniwersytetów. Ten mówca zgodził się z poglądem p. Oakeshott'a, według którego uniwersytet jest organizacją mającą swe własne prawa rozwoju i dlatego nie powinien ulegać eksperymentom narzuconym z zewnątrz. Za słuszny uznał też pogląd, że uniwersytet jest „rozmową" uczonych między sobą i ze studentami, dla których ta ‚rozmowa' jest istotnym elementem wykształcenia. Uniwersytet wymaga też pewnego stopnia odseparowania się od świata zewnętrznego. Jednocześnie jednak uniwersytet musi, i tu p. Moberley był w zgodzie z Lordem Lindsey'em, pamiętać o swej funkcji społecznej oraz o jednym z głównych zadań wyższej uczelni, którym jest przygotowanie studentów do zawodów.

Sir Walter Moberley podniósł też ważność współczesnego rozwoju nauk ścisłych i ich wpływu na ducha i atmosferę uniwersytetów i uznał za konieczne znalezienie wspólnego języka między „science" i „arts" — w drodze świadomej pracy nad rozwiązaniem tego problemu. Wszystkie te zagadnienia są jednak pochodnymi; jako główny problem wysuwa się zagadnienie kryteriów ostatecznych, według których ma być oceniana działalność uniwersytetu. Moberley krytykuje obojętną, jeśli nie niechętną, postawę wobec religii, która dała się zauważyć w ramach dyskusji w poglądach prof. Blackett'a i prof. Pascala. Moberley zaś występuje w niej, podobnie jak w swej książce, jako zwolennik silnego chrześcijańskiego elementu w życiu uniwersytetów. Żąda rozważenia problemu roli religii i religijnego lub a-religijnego charakteru wyższych uczelni w sposób wyraźny i otwarty.

Zaatakował też jako obskurancki pogląd prof. Blackett'a, według którego uniwersytet ma ograniczyć się do przygotowania studenta do przyszłego zawodu. Religijny aspekt życia ludzkiego, całość zagadnień moralnych i filozofia ludzkiego życia są problemami, które stoją przed społeczeństwem i powinny być rozwiązane przez nie przy jak największym udziale uniwersytetu. Uniwersytet jest jednym z najdoskonalszych instrumentów do przesiewania i dyskutowania idei nurtujących ludzkość lub jej część w danej epoce. Kryzys cywilizacji odbija się w życiu uniwersytetów i swoisty „kryzys" tych ostatnich stanowi nietyle błąd w ich strukturze czy funkcjonowaniu, lecz raczej zjawisko pochodne — postawienia ich przed problemami i trudnościami, jakie wynikają z kryzysu społecznego i ideowego naszych czasów.

Tak przedstawia się krótki zarys najważniejszych, moim zdaniem, myśli, jakie wystąpiły w tej ważkiej angielskiej dyskusji na temat „idei uniwersytetu".

Starając się o sformułowanie konkluzji na nasz użytek i z punktu widzenia potrzeb polskich uniwersytetów w przyszłości punkt ciężkości należy położyć na tym, co w dyskusji dotyczy ogólnych zagadnień uniwersytetu, a nie ściśle angielskich tradycji, które są wynikiem odrębnego rozwoju historycznego na tle specjalnej struktury społecznej i ekonomicznej. Uniwersytet w Polsce nie był, ani najprawdopodobniej nie będzie „Ivory Tower" ani też nie jest „obciążony" tradycją wychowania typu „country gentleman" i „man of leisure".

W omawianej dyskusji uderza położenie nacisku na zagadnienie ostatecznych kryteriów, na problemie odrodzenia religijnego i na zagadnienie moralności i filozofii życia ludzkiego, które muszą być rozwiązywane w sposób pełny, otwarty i przede wszystkim uczciwy przez uniwersytet. To narzuca z kolei w naszej przyszłej sytuacji, jako dalszą konkluzję, problem przyszłych kadr naukowców, którzy mają być również nauczycielami i wychowawcami.

Jeżeli uważa się za słuszną zasadę, że wyższa uczelnia powinna dać studentowi swój wkład do ogólnego poglądu na świat, do jego moralności i filozofii życia, to z tego wynika, że należy uznać za najwłaściwszą „drogę pośrednia" t.j. połączenia ogólnego wykształcenia z wykształceniem fachowym. Wydaje się bowiem oczywistym, że przygotowanie studenta do zawodu czy profesji jest bezspornym zadaniem uniwersytetu. To stanowisko najwyraźniej reprezentował (w omówionej dyskusji) Lord Lindsey of Birker, który opowiedział się za połączeniem przygotowania studenta przez uniwersytet w zakresie zawodowym z daniem mu zasadniczych podstaw wykształcenia filozoficznego i społecznego, choćby nawet miało się to stać kosztem znacznego przedłużenia studiów. Jeżeli ten postulat zostanie zastosowany w programach uniwersytetów polskich w przyszłości to konieczne będzie opracowanie go w szerokiej skali. Nie wystarczy tu bowiem umieszczenie na liście wykładów kilku nieobowiązujących przedmiotów, na które uczęszczałaby znikoma ilość studentów, ani też zalecenie, jako obowiązkowego jednego przedmiotu z zakresu nauk społeczno - politycznych np. na politechnice.

Oczywiście jest tu poza dyskusją elementarna zasada powyższej koncepcji — to jest, że chodzi o danie studentowi ogólnych podstaw w zakresie wiedzy i metody, z których będzie mógł uczynić samodzielny, krytyczny użytek w przyszłości. Taka koncepcja jest przeciwna wszelkim totalistycznym próbom wszczepiania „jedynej" i stronniczo interpretowanej doktryny filozoficznej i społecznej.

Pełne i rzeczowe przeprowadzenie takiego planu będzie nastręczało znaczne trudności. Jedną z nich będzie zagadnienie składu osobowego — i to nie tylko, co do ilości, lecz i jakości naukowców — wychowawców, gdyż tylko wtedy uniwersytet może właściwie spełnić swe zadanie, gdy wielkie i wieczne prawdy religijne, moralne oraz dorobek kulturalny ludzkości będzie pod strażą ludzi wewnętrznie uczciwych, zdolnych do samokrytycyzmu, do demokratycznej dyskusji i do myślenia nie w terminach osobistych karier, lecz rzeczywistego dobra człowieka i nauki.

Historia polskich uniwersytetów ma w tym zakresie wielkie tradycje i wielkie imiona na swej liście.

Bronisław Jeżowski

NOTATKI

MUZYKA

Staraniem British Council ukazała się antologia angielskiej muzyki kościelnej nagrana na 12 płyt gramofonowych („An Anthology of English Church Music" edited by E. H. Fellowes, Columbia, cena za całość £. 4. 9. 1½). Antologia ta zawiera dzieła Fayrfax'a, który tworzył przed Reformacją, Tallisa — również katolika, prześladowanego przez Henryka VIII, i Byrda, gorliwego katolika, który w czasie prześladowań religijnych jeździł od dworu wiejskiego do dworu, aby słuchać swej muzyki-granej i śpiewanej podczas mszy odprawianych przez ukrywających się Jezuitów. Śpiewy chóralne natomiast reprezentują w antologii twórczość protestancką — reprodukowaną w kościołach anglikańskich. Oprócz wymienionych wyżej kompozytorów nagrano utwory Crotch'a, Stanford'a, Wood'a, S. Wesley'a, a z utworów ostatnich Alana Gray'a (XIX w.) Vaughan Williams'a, dr Alcock'a i in.

Sprawozdawca muzyczny tygodnika „Time and Tide", Max Kenyon, uważa za najbardziej reprezentatywny utwór zbioru oratorium Boyce'a „*I have surely built Thee an house*" z partią solową. Płyty śpiewane są doskonałe, pozostałe — zdaniem wspomnianego krytyka — posiadają pewne, nieznaczne wady. Płyty mogą być kupowane oddzielnie.

* * *

Wytwórnia brytyjska „Archers", czyli spółka autorsko - reżyserska M. Powell — E. Pressburger, wypuszczająca tylko jeden obraz w ciągu każdego roku, lecz chlubiąca się takimi pozycjami jak „Colonel Blimp" „Matter of Life and Death" i „Red Shoes", przystąpiła do zdjęć atelierowych dawno zapowiadanego nowego opracowania „Opowieści Hoffmanna" z muzyką Offenbacha. Realizacja filmu daleko odbiega od konwencji znanej operetki w kierunku nowoczesnych koncepcji, przy czym połowa ciężaru obrazu spoczywać będzie na specjalnie skomponowanym balecie, w którym ujrzymy znanych już z „Red Shoes": Moirę Shearer, Ludmiłę Tcherinę, Roberta Helpmanna i Leonida Massine. Plotki zakulisowe zapowiadają wiele rewelacji filmowych; obraz kręcony jest w technikolorze.

KSIĄŻKI

Bardzo różowa (o ile nie całkiem czerwona) firma wydawnicza Victor Gollancz wydała książkę o dobrych Rosjanach, zatytułowaną „Those Human Russians". Jest to rodzaj rejestru poczciwych i szlachetnych postaci żołnierskich sowieckich, którzy: a) okazywali szacunek dla przedmiotów kultu religijnego, b) wstrzymywali się od dokonania zbrodni, gdy ktoś wzywał imienia Chrystusa, c) pozostawiali w spokoju domy, gdzie wisiały obrazy święte, d) całowali szaty pastora, e) uprawiali studia biblijne nie tylko w niedziele i święta, ale także w dnie powszednie i to w obozie wojskowym za zezwoleniem władz wojskowych sowieckich. Pewien wyższy oficer rosyjski był niepocieszony, gdy obowiązki służby uniemożliwiły mu udanie się do spowiedzi. Pewna (niewymieniona z nazwiska) Polka opowiada, że żołnierze rosyjscy szalenie kochają dzieci i nawet powstrzymali się od zgwałcenia jakiejś dziewczyny tylko dlatego, że w owym miejscu obecne było dziecko.

Jak widać z powyższego, bynajmniej nie stylizowanego i nie koloryzowanego jadłospisu dobroci rosyjskich, mamy tu do czynienia z rzeczą niezwykle jednostronną. Bywało i bywa tak, ale wiemy niestety, że nie „tylko" tak. Tymczasem londyński „Catholic Herald" piórem p. P. Scott-Montagu wziął całkiem na serio brednie R. Hughesa (który skompilował książkę) i zamieścił o nich entuzjastyczną recenzję. Bezbrzeżna naiwność?

(sp.)

ZMIERZCH REZYDENCJI WIEJSKICH

Kanclerz skarbu Sir Stafford Cripps zamianował Komisję, która miała rozważyć, co należy uczynić dla ocalenia starych prywatnych rezydencji wiejskich (t.j. dworów i pałaców), oraz innych historycznych budynków w Wielkiej Brytanii.

Komisja pracowała przez rok i obecnie ogłosiła swe sprawozdanie. Stwierdza ono, że główną przyczyną ruiny i zanikania dawnych rezydencji wiejskich jest zbyt wysokie opodatkowanie. Grozi ono klęską, którą „*porównać można tylko do katastrofy, spowodowanej przez zniesienie zakonów w XVI stuleciu*". Wysokie podatki doprowadziły do rozkawałkowania wielu dużych majątków albo do takiego ich zmniejszenia, że pozostały obszar niezdolny jest do utrzymania dworu.

Jako środek zaradczy Komisja proponuje udzielenie właścicielom dworów ulg podatkowych w zakresie wszelkich autoryzowanych wydatków na naprawy i utrzymanie ich dworów, — nadto zawieszenie należności spadkowych do czasu, kiedy dwory te nie zostaną sprzedane.

By się uwolnić przed zarzutem zalecania przywilejów, Komisja powołuje się na wyjątek zastosowany wobec premiera Attlee. „W wypadku tym — czytamy w sprawozdaniu — uznano za konieczne poczynić specjalne kroki celem oddania do dyspozycji Premiera środków współmiernych z powinnościami jego urzędu".

Komisja zaleciła również z naciskiem utworzenie Rady Budynków Historycznych (Historic Buildings Council), jako instytucji państwowej, wzorowanej na istniejącej już Radzie Sztuki (Arts Council). Ciało to, wyposażane stale w odpowiednie fundusze, miałoby za zadanie czuwać nad losem około 200.000 historycznych budynków w Wielkiej Brytanii, uznanych za godne opieki. Ulgi podatkowe zastosowane byłyby do najważniejszych spomiędzy tych budynków w liczbie około dwóch tysięcy. Fundusze, stojące do dyspozycji Rady, przeznaczone byłyby na ‚konserwację lub kupno, ewentualnie przymusowe, wyznaczonych budynków i ich zawartości'.

Komisja zaleca jednocześnie, by o ile możności domy takie zamieszkiwane były w dalszym ciągu przez „potomków wielkich rodzin", których od wieków były siedzibami. „Nikt inny — zaznacza sprawozdanie — nie zachowa tak dobrze atmosfery tych rezydencji".

Przypuszcza się, że sprawozdanie Komisji spowoduje rychłą akcję rządu. Rzeczą interesuje się szczególnie sam premier Attlee, który niedawno będąc we Francji zwiedzał zamki nad Loarą, by zaznajomić się z systemem konserwacji starych budynków na prowincji francuskiej.

Zalecenia Komisji w sprawie ratowania rezydencji wiejskich przyjęte zostały z uznaniem zwłaszcza przez prasę konserwatywną. Continental Daily Mail" poświęca temu tematowi artykuł wstępny, w którym podkreśla, że właściciele rezydencji wiejskich zużywają swój majątek na utrzymanie „bogactw, które należą do wszystkich".

„W tych bowiem domach — pisze „Daily Mail" — zapisane jest wiele historii, tradycji i geniuszu naszego kraju. Stanowią one jedyny w swym rodzaju wkład Wielkiej Brytanii do sztuk pięknych. Widzimy w nich rękę takich ludzi jak Inigo Jones, Palladio, Wren, Vanbrugh — ów twórca pałacu w Blenheim...

„Byli to mistrzowie. Poza nimi jednak były setki nieznanych architektów dworów, zdobiących W. Brytanię. Byli także rzemieślnicy — mularze, snycerze, meblarze, tkacze, ogrodnicy, którzy budowali meblowali i pianowali te pełne wdzięku domy i majątki. Są one, w rzeczywistości, osiągnięciem całego społeczeństwa, a nie tylko arystokracji... Brytyjczycy nie są ludem zazdrosnym. Są oni społecznością ściśle zespoloną, obdarzoną instynktem ciągłości — który stanowi istotną tajemnicę więzi narodowej".

ZE WSPOMNIEŃ DAWNEGO TUŁACZA

NIEWOLA HISZPAŃSKA I ANGIELSKA

Epoka napoleońska była w historii naszego narodu jednym z tych okresów, który rozrzucił po świecie liczne rzesze Polaków. Nie była to jednak ich pierwsza fala. Sięgały one jeszcze czasów przedrozbiorowych i żeby już nie cofać się do Piotra W. powiemy, że najdawniejszym ich źródłem była Konfederacja Barska.

Z okazji jubileuszu Słowackiego niech nam wolno będzie, wspomnieć, iż jej członek, Maurycy Beniowski, który tak dalece przypadł do gustu wielkiemu poecie, że największy swój poemat nazwał jego imieniem, ponieważ „nie był to bohater nudny, co się księżyca tylko karmi blaskiem“ — stał się pierwowzorem typu Polaka-tułacza, dobrze później znanego na całej kuli ziemskiej. Jako autor zaś pamiętników, tej „Kroniki o awanturach własnych“, tej „cudownej awantur girlandy“ — jak się wyraża Słowacki — jest ojcem tułackiego pamiętnikarstwa, które obejmuje szereg krajów i które, ze względu na autorów początkowych okresów należy określić jako szlacheckie.

Rzadszym oczywiście typem były pamiętniki t. zw. warstw niższych, czujących i cierpiących tak samo. Nie omylimy się chyba, twierdząc, że kategorii tej dają początek wspomnienia z czasów Księstwa Warszawskiego, pozostawione przez włościanina wielkopolskiego, żołnierza 9-go pułku Ks. Warszawskiego, o symbolicznym i pasującym do zasięgu jego podróży nazwisku — Dalekiego. Nie przemierzył on wprawdzie tylu krajów co Beniowski, ale był też w Niemczech, Francji, Anglii i Rosji — jedynie w odwrotnej od tamtego koleice i o tyle szczęśliwszy, że „wybrał“ sobie niewolę angielską zamiast rosyjskiej i uniknął Kamczatki, mimo odbycia w 1812 r. marszu pod Moskwę i z powrotem.

Cechy dodatnio wyróżniające te wspomnienia, tak pod względem odmalowanych scen, dających często wiele materiału do refleksji i komentarzy, jak żywości i lapidarności stylu, oraz fakt pobytu autora w W. Brytanii skłaniają nas do przedrukowania tu paru urywków z tych wspomnień, ogłoszonych przez jego syna, X. J. Dalekiego w Poznaniu, w 1864 r.

SMUTNO mi opowiadać o mojej niewoli. Bo żołnierz dopóki z bronią w ręku i dopóki się bić może, to minny i pan, choć jeść nie ma czasem co; ale odkąd dostanie się do niewoli, to mu życie niemiłe. Tak było ze mną. (...)

Obdarto nas ze wszystkiego, nawet z rzeczy na sobie. Na niektórych ani koszuli ani spodni nie było. (...) staliśmy pod murem zupełnie nadzy.

A tu upał nieznośny, a ludu wielka moc jakby na teatr zbiegała się, aby nas wyśmiać i sponiewierać.

Na domiar złego, tak odartych przegnano nas w dzień biały przez całe miasto tam i napowrót na pośmiewisko większe ludu. Bogu tylko wiadomo, ilem wstydu wyżył. Spuściłem oczy ku ziemi i modliłem się cicho do Boga, aby mnie wybawił od tej hańby i sromoty, lub zabrał z tego świata.

(...) Gdy tak stojimy pod murem, przybył też nas oglądać jakiś hiszpański jenerał w stosowanym kapeluszu. Szedł przed naszym frontem. Gdy doszedł do mnie, ja wzniosłem ręce do góry, wołając po hiszpańsku: panie jenerale, zlituj się. Wszak pies ma przynajmniej ogon, by nagość swą pokryć.

Jenerał, słysząc hiszpańską mowę z ust moich, szturchnął mnie w piersi rękojeścią tak mocno, że byłbym upadł na ziemię, gdyby nie mur cmentarza, i krzyknął ze złością:

— Toś ty Hiszpan, a trzymasz z Francuzami?

— Nie panie jenerale, ja nie Hiszpan, lecz Polak.

— Jakże więc umiesz tak dobrze po hiszpańsku?

— Przez lat kilka już bawiąc w tym kraju nauczyłem się tego języka.

— A z którejś to prowincji?

— Od Poznania, panie jenerale, jestem Polak, katolik.

Widać, że go nasze nieszczęście nieco wzruszyło, bo zaraz kazał nam przynieść kurtki i krótkie spodnie na jeden guzik z boku zapinane, jak to dawni Polacy nosili.

(Jeńcy zostali potem odesłani drogą wodną do Alicante.)

„W tej samej chwili, gdyśmy odpływali, powieszono w mieście Wyszyńskiego z Mosiny i czterech innych naszych. Nadszedł też właśnie wtedy mocny oddział Francuzów od Almeryji, ten właśnie na któryśmy czekali, a który się spóźnił, bo w drodze był zatrzymany przez Hiszpanów. Z powieszonych Polaków Wyszyńskiego i jeszcze jednego zdołali uratować, a trzech innych już zastali uduszonych. Nam przybycie Francuzów już nic nie pomogło. Przyszli dwie godziny zapóźno. Płynęliśmy więc jako więźniowie na hiszpańskim okręcie. Okropnie się z nami obchodzono“ *(Przez dwa pierwsze dni nie dano jeńcom żadnej żywności. Stłoczonym w małych pomieszczeniach bez powietrza i wody upał dokuczał nieznośnie).*

„W Alicante był jakiś gubernator angielski i więcej jak sześćdziesiąt okrętów, co oni flotą nazywali. Temu Anglikowi nas oddano. On kazał nas w szeregu ustawić, ażeby przegląd odbyć. Gdy nas ujrzał wpół nagich, bez koszul, wynędzniałych, pytał cośmy za jedni. Gdyśmy mu powiedzieli, żeśmy Polacy, począł okropnie pluć Hiszpanom w oczy, powtarzając: Wy nie wiecie co to za ludzie. — Oni nie mają swej Ojczyzny, swego króla — służą więc innym, a służą wiernie. Oni to głównie przyczynili się Francuzom, że tyle bitew wygrali. To naród szlachetny. To lud katolicki, a wy katolicy takeście ich obdarli? Godziż się z żołnierzem w niewoli tak postępować? ...

I kazał nam natychmiast dać po koszuli, wyliczyć każdemu po talarze pięciofrankowym. Niech Pan Bóg mu wynagrodzi za to, boć pewnie już nie żyje.

Tego samego dnia jeszcze wsadzili nas na okręty i powieźli do Gibraltaru. *W Gibraltarze jeńcy przesiedzieli dwa tygodnie bez wychodzenia na brzeg. Stamtąd odwiezieni zostali do* Porsmut (Portsmouth) w Anglii, gdzieśmy wylądowali. Tu nam dali Anglicy kurtki, spodnie i koszule, a gdy nas tak ubrali, dopierośmy wysiedli. Po dwóch tygodniach pobytu w Anglii, zaprowadzili nas do Kumerland (Cumberland), jednej forteczki nad morzem. Tu nam dali mydła, każdy się musiał wygolić, wymyć i wykąpać, poczem dopiero osadzono nas w koszarach. Dawali nam dziennie pół funta mięsa, funt chleba i dziewięć pensów, niby trojaków.

Wzięto nas potem do Lamenton (Leamington), gdzie był główny skład angielski. Tu rewidowano nas wszystkich, mierzono i kompletowano nami pułki swoje w Indyjach i Bóg wie gdzie za morzami stojące. Z płaczem żegnaliśmy się z towarzyszami, którzy szli daleko za morze w służbę angielską. Wielu zaś z nas wymawiało się od tej służby. Ja zwłaszcza, byłem ranny pod Gdańskiem, powiadałem więc, że jestem już słabym i inwalidą. Posłano nas do Arycza (Harwich) nad morzem, gdzieśmy także stali, trzymając warty i stawając rano i wieczór do apelu. Obchodzili się z nami grzecznie i po ludzku, a to wszystko w tym celu aby nas zwerbować — chcieli nas nawet w Angliji pożenić, byleśmy tylko zostali.

Z Arycza wodzono nas po różnych miastach angielskich, aż nas wreszcie zawieźli do Londynu, gdzieśmy odbywali noclegi na przedmieściu. Dziwny zwyczaj w tej Angliji, bo codzień przynieśli nam na kwaterę na półmisku cynowym tytuniu i każdemu dano codzień nową długą fajkę gipsową. Dnia jednego, było to w Niedzielę, kiedy tak sobie rano może około ósmej godziny palimy owe fajki, gwarząc o naszej niewoli, przychodzi nagle dziewczyna, i nic nie mówiąc bierze nam owe fajki od gęby i postawia na bok. My mieliśmy nakaz, żeby wszędzie być jak najgrzeczniejszymi. Zlękliśmy się więc nie wiedząc, co to ma znaczyć. Myśleliśmy bowiem, że który z nas co na kwaterze przeskórzył i wszyscy za to będziemy karani. Idę więc zaraz ja i jeszcze z jednym kolegą meldować to sierżantowi angielskiemu, który nas miał pod mocą i zarazem uniewinnić się, gdyby nas o co gospodarz miał posądzić. Dopiero ów sierżant poczciwy, Polak z Zamościa, który już kilkanaście lat pełnił służbę u Anglika, powiada nam, że tu w Angliji jest takie prawo, iż w Niedzielę podczas nabożeństwa nie wolno ani fajki palić. Dopierośmy się uspokoili na tę nowinę, ale zarazem pomyśleliśmy sobie: Mój Boże, ten lud angielski niekatolicki, a jednak on to obserwuje święto, a u nas katolicy nie boją się Boga, jeno w Niedzielę lub święto nietylko, że fajki palą, ale pracują.

Ledwieśmy w onej stolicy państwa angielskiego odpoczęli, powsadzano nas na okręt i wieziono do wyspy Świętej Heleny. W tej długiej i dalekiej podróży wieleśmy ucierpieli. Morze nieraz okropnie się burzyło. Morska choroba nas nękała. (...)

Wyspa Świętej Heleny jest jakby z kamienia zrobiona, a kamień bielutki. Jest tam porządne miasteczko, piękne też kościoły, w których słyszałem śliczną muzykę i śpiew. Osadzono nas w koszarach i nie dano wychodzić. Używali nas potem do różnych robót. Fala była przypędziła dwa jakieś okręty, na których było pełno towarów. Musieliśmy je więc jak tylko morze opadło, co dwa razy na dzień bywało, odkopywać je i z piasku wyciągać. Wydobyliśmy je nareszcie na brzeg. Miewaliśmy też inne roboty. Rąbano i ciosano kamienie z góry; te potem musieliśmy znosić do komendanta. Ale za to dobrze nam płacili, bo po dwa szylingi, to jest po cztery złote polskie dziennie. Po kilku niedzielach kazał nas komendant zawołać i pytał, czy chcemy służyć w Indyjach? My odpowiedzieliśmy otwarcie, że tego na żaden sposób nie chcemy i że prosimy o litość nad naszym losem, że będąc Polakami chcielibyśmy umrzeć na własnej ziemi. Komendant ujęty naszem dobrem zachowaniem się, a bardziej widząc naszą tęsknotę, wzruszył się litością. Wkrótce kazał przygotować okręt, zaopatrzyć we wszelką żywność i wyprawił nas z powrotem do Europy, i to do Hanoweru. Szczęśliwie przebyliśmy morze. Każdy z nas miał pisane świadectwo i paszport do tego miejsca, skąd był rodem.

Wysiedliśmy blisko brzegów hanowerskich, ... Zmoczeni i zziębli wyszliśmy na ląd we Friesland, gdzie już znajdowali się Francuzi. Ci odebrali nam paszporta, kazali sobie oddać wszystkie rzeczy, któreśmy mieli z Anglii, a złożywszy na kupę zapalili mówiąc, że oni nic z obcego kraju nie potrzebują. Co za racyja, myśleliśmy sobie, jak gdyby nam nie było potrzebne, bez czego oni się obejdą.. Mnie spalili tak ładne lusterko i dobrą brzytwę, którą sobie z oszczędzonego grosza byłem kupił w Angliji. (...) Już nastawał czas zimny... Stąd pędzono nas do Amsterdamu. Tu nie chcieli Francuzi wierzyć, że wracamy z niewoli angielskiej. Owszem posądzali nas, żeśmy w Hiszpanji do Anglików uciekli. Trapili więc nas swoim wypytywaniem.

Siedzieliśmy w Amsterdamie zamknięci dwa tygodnie. Nie dosyć było biedy od cudzych, trzeba nam było cierpieć od swoich — aleć to tak często bywa na świecie. W końcu zawołano nas przed jakiegoś jenerała francuzkiego. Ten nas znowu badał o wszystkiem. — Napisał wreszcie do pułków naszych i dopiero przekonał się żeśmy nie dezerterowali od wojska, tylko dostali się do niewoli. Wypisał więc nam marszrutę do Bordo, gdzie już raz byłem, maszerując do Hiszpanji. (...)

W Bordo, gdzieśmy po tylu miesiącach niewoli po raz pierwszy śliczną dostali bieliznę i pięknie nas umundurowano, tak że człowiek znowu dostał chętki być żołnierzem, bo w niewoli prawdziwie się tego odechciało. ...

Po sześciotygodniowym pobycie naszym w Bordo wracały pułki nasze z Hiszpanji i wszystko miało hurmem ruszyć do Rossyji. Wcielono i nas do dawnych naszych kompaniji.

Wielką siłą i z dobrą ochotą ruszyliśmy do Rossyji. Każdy z dobrą miną, bo każdy był pewien zwycięstwa. (...)

Przed Wilnem stanęliśmy na wzgórzu, ubraliśmy się jak na paradę i z muzyką weszliśmy do miasta. Tuśmy tylko dzień odpoczęli i zaraz szliśmy dalej aż pod Smoleńsk. (...) szturmem zdobyliśmy Smoleńsk, a Moskale uciekli na łeb na szyję. — My cośmy przybyli z Hiszpaniji, nie byliśmy pod polską, lecz zawsze pod francuską komendą, a Francuzi zawsze gdzie im ciężko szło, nas posyłali. Kiedy przyszło nacierać na nieprzyjaciela, to nas naprzód postawili, kiedy armija rejterować musiała to nas w tyle zostawiono, zawsze tam gdzie największe było niebezpieczeństwo.

Wybrał do druku

O. Czapliński

LISTY Z FRANCJI

ZGON G. JEAN-AUBRY'EGO

W PARYŻU, w mieszkaniu swym przy rue de l'Abbé Gillet nr. 2 w dzielnicy Passy, zmarł wybitny francuski krytyk literacki, tłumacz i prelegent G. Jean-Aubry. Zmarły był jednym z najlepszych znawców życia i twórczości Józefa Conrada-Korzeniowskiego, z którym łączyła go bliska przyjaźń.

Jean-Aubry należał do inicjatorów i kierowników francuskiego wydania dzieł Conrada, które ukazywało się pod naczelną redakcją André Gide'a. Spod pióra Aubry'ego wyszły m. in. doskonałe przekłady „Opowieści niespokojnych“, „Młodości“, „Jądra ciemności“, „Falka“, „Między lądem a morzem“, „Trafu“, Złotej strzały“, „Korsarza“. Do innych przekładów, m. in. do „Smugi cienia“ i do noweli „U kresu sił“ Aubry skreślił przedmowy i noty objaśniające.

W r. 1927 nakładem Heinemanna w Londynie ukazał się w dwóch tomach pt. „Joseph Conrad — Life and Letters“ zbiór listów Conrada w języku angielskim, opracowany przez Aubry'ego i zaopatrzony przez niego obszernymi danymi biograficznymi. Osobno wydał Aubry w Paryżu w r. 1930 „Lettres françaises“ Conrada, później zaś wybór myśli Conrada pt. „Sagesse de Conrad“.

Przed ostatnią wojną Aubry podjął zbieranie materiałów do nowego, pełnego życiorysu Conrada. Zadanie swe traktował z niezwykłą sumiennością: spędził specjalnie pewien czas w Polsce, a w Marsylii przeprowadzał studia nad okresem, scharakteryzowanym przez Conrada w jego powieści autobiograficznej „Złota strzała“. Owocem była książka „Vie de Conrad“, wydana parę lat temu i będąca niewątpliwie najlepszą jak dotąd biografią wielkiego pisarza.

Poza tym Jean-Aubry ogłosił szereg artykułów o Conradzie w różnych czasopismach francuskich, angielskich i polskich. Tak więc w warszawskim „Tygodniku Ilustrowanym“ pojawił się w roku 1925 artykuł jego pt. „Józef Conrad a Polska“, a w „Drodze“ w r. 1927 szkic „Polska w życiu i dziełach Józefa Conrada“.

Na kilka miesięcy przed zgonem Jean-Aubry skreślił z całą gotowością wspomnienie o Conradzie do numeru specjalnego londyńskich „Wiadomości“, opracowanego na 25-lecie zgonu pisarza przez polski Klub Miłośników Conrada. Niemal równocześnie w paryskiej „Placówce“ ukazał się wywiad, jaki z Aubry'm przeprowadziła dr Maria Kasterska.

Jean-Aubry miał dla Polski szczery i głęboki sentyment. Napisał m.in. przedmowę do francuskiego przekładu nowel F. Goetla, wydanych w r. 1930.

Interesował się szczególnie muzyką. Napisał szereg prac poświęconych wybitnym kompozytorom, jak Debussy, Ravel, Faure. Ogłosił też liczne studia z zakresu literatury francuskiej.

IRENA HRADYSKA

REKOLEKCJE NA WYCIECZCE

CZYLI O MŁODYCH MAŁŻEŃSTWACH

MIĘDZY dwoma łykami arabskiej „czarnej“ pan Z. rzucił retoryczne pytanie:

— Właściwie dlaczego ja mu się daję terroryzować?.

To samo mniej więcej pomyślało dwoje pozostałych. Bo żeby się dostać na to zebranie „młodych małżeństw“ w Tanail, musieliśmy się zerwać już o świcie i przed szóstą być w Bejrucie, skąd czekała nas jeszcze dalsza podróż. A sprawcy tej całej eskapady, pana W., jakoś nie widać. (Pan W. zjawiał się parę razy na miesiąc u nas, w Ghazir, zawsze obładowany książkami, broszurami, pismami, francuskimi i polskimi. Znikał — i za jakiś czas przywoził nową porcję katolickiej literatury i — furę projektów, mających na celu wyrwanie nas z gnuśności uchodźczego żywota: rzucał myśl organizowania kursów, wieczorów dyskusyjnych, biblioteczki, namawiał i zapraszał na zamknięte rekolekcje, kazania, odczyty, podsuwał do przełożenia z francuskiego artykuły, broszury, ba, nawet książki...). — Wreszcie nadszedł, ku naszej radości — z ogromną walizą.

— O, jest, nasz... — tu pan Z. się zawahał.

— Komiwojażer Opatrzności — dokończył pan W.

— Świetnie, doskonale się pan nazwał, ja bo dotychczas nie wiedziałem, jaką łatkę panu przyczepić „Komiwojażer Opatrzności“, ha! ha! doskonale!

Walizą jesteśmy rozczarowani. Nie, to nie aprowizacja. Pan W. jest jak zawsze tajemniczy, po zebraniu rozstanie się z nami, gdyż jedzie do Damaszku. Miny nam rzedną, jest przed pierwszym, a nasz mąż opatrznościowy jakoś się mało tym przejmuje, choć wie dobrze, że jesteśmy bez grosza.

Polska grupa, przedstawia się świetnie: — Trzech mężów, z których jeden jest kawalerem i jedna żona; zebranie zaś jest dla młodych małżeństw. Do autobusu wiozącego nas do Tanail, wsiada jeszcze jedna Polka z Bejrutu. Moralnie pozycji naszej to nie zmienia. Przybywa wprawdzie przez to jeszcze jedna żona, ale cudza, bo mąż, słuchacz Francuskiego Uniwersytetu w Bejrucie, musiał zostać w domu, by się przygotować do egzaminów. Francuzi jadą ze swoimi własnymi żonami, ale miejsca zajmują przy cudzych. Parę małżeństw jedzie z dziećmi. Są to małżeństwa należące do organizacji „Jeunes Ménages“, powstałej przy Akcji Katolickiej w Bejrucie.

Jak się od nich dowiaduję, ruch zrzeszający małżeństwa katolickie zrodził się we Francji jako antidotum na bolączki trapiące społeczeństwa całego zachodniego świata, a może najwięcej Francję: rozwody, separacje, rozbicie rodziny, pogwałcenie praw dziecka, zdziczenie obyczajów, bezmyślność, „zmechanizowanie duszy“. Na terenie całej Francji jak długa i szeroka zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu te grupy, początkowo niezwiązane, nie wiedzące o sobie na wzajem. I nie tylko wśród inteligencji, ale także w środowisku robotniczym. Coś, co powstało samorzutnie, wciągnęło duszpasterzy do współpracy, zaczęło się organizować, nabierać rozpędu, zataczać coraz szersze i szersze kręgi.

Dalekim echem tego, co wyrosło we Francji, jest na wschodzie grupa bejrucka. Organizacja dzieli się na mniejsze grupy, po 6 — 12 rodzin, celem łatwiejszego zżycia się i zaprzyjaźnienia w duchu Chrystusowym. Jeżdżą razem na wycieczki, spotykają się często, omawiają zagadnienia życia duchowego, czytają odpowiednią lekturę, spieszą sobie z braterską pomocą, posuwając się aż do przyjmowania na siebie odpowiedzialności za los małoletnich dzieci swych przyjaciół w razie śmierci rodziców...

Trrrach! Autobus szarpnął mocniej, przerywa się rozmowa, ale mam już w ręku parę miesięczników, jak „*L'anneau d'or*“, „*Famille et Chretienté*“, z czego dowiem się więcej na ten temat.

Zaczyna mi się ta organizacja podobać. Autobus rozbrzmiewa śmiechem, panie są eleganckie, mają modne fryzury, niektóre — malowane usta (niech by tak tego u nas spróbowała jaka sodaliska!). Wszyscy są ze sobą zżyci, znają się doskonale, z rozmowy widać, że często jeżdżą razem na takie wycieczki. Na nas, na szczęście, nie patrzą jak na rarogów.

Pan W. rzuca mi na kolana miniaturową paczuszkę.

— Niech pani policzy, ile jest kanapek; to na śniadanie dla nas i dla siedemdziesięciu „Damascenów“.

— Co? Siedemdziesięciu „Damascenów“ tam przyjedzie? To pan najpierw rozmnóż te kanapki, a potem będziemy je liczyć!

Pan W. niczym się nie przejmuje i promienieje radością z powodu swoich „Damascenów“, naszą zaś trójkę owa paczuszka wcale dla nich przyjaźnie nie nastraja.

Autobus pnie się serpentynami coraz wyżej, powietrze czyste, z ośnieżonych szczytów wieje chłodem, w dole ściele się równina pokryta mozajką pól. Na pewnej wysokości kończą się zakręty. Jesteśmy w dolinie, położonej jednak 800 m. nad poziomem morza. Ośnieżone szczyty są teraz bliskie i małe. Wjeżdżamy w piękny park, posesję OO. Jezuitów. Przy bramie mignęła mi postać wysokiego księdza z brodą.

— To ten, informuje mnie towarzysz, który już ma za sobą zamknięte rekolekcje, odbyte z ojcem Clémensem.

Przy przywitaniu ksiądz uśmiecha się serdecznie do każdego. Po paru minutach widzę już, że mam do czynienia z czarującą osobowością, typem księdza, jakiego nigdy nie spotkałam w życiu. Wchodzimy do kościoła, zaczyna się msza. Ksiądz ma głos donośny. Odprawia mszę powoli. Tylekroć słyszane słowa nabierają w jego ustach istotnego sensu. Nie mam mszalika, a jednak wydaje mi się, że biorę rzeczywisty udział we mszy, przeżywam ją. Gdy ksiądz mówi „Introibo“, rozumiem i czuję, że on rzeczywiście przystępuje do ołtarza Bożego. Razem z księdzem wiem, że „Domine, non sum dignus“. Nie jest to dotychczas słyszane: „non sum dignus non sum dignus.“ Czy dziś dopiero słucham naprawdę mszy świętej? Mea culpa, ale zdaje mi się, że tak.

Po mszy śniadanie. W cieniu drzew ustawione stoły. Ojciec Clémens rusza szybko ku nim i nas zaprasza. Przed posiłkiem, krótka, śpiewna na radosną, skoczną nutę modlitwa: „Bénissez Seigneur, ce repas...“

Zasiadamy do „agapy“. Nastrój wesoły. Kanapki rozmnażają się cudownie (za przyczyną miłych Francuzów z grupy bejruckiej), popijamy jezuickie wina, zagryzamy świetnymi oliwkami z arabskim plackiem, a tu już wnoszą braciszkowie półmiski dymiącego ryżu z doskonałą baraniną i karczochami. Na deser wiśnie.

Nigdy w życiu tyle, tak swobodnie i tak szczerze się nie uśmiałam. Poprostu śmiałam się z byle czego, bo ta atmosfera pełna wzajemnej życzliwości nastrajała tak jakoś wesoło, pogodnie, optymistycznie.

Ojciec Clémens jest księdzem, jakiego się nie spotyka chyba częściej niż raz w życiu. W jednym dniu dał nam nielada dawkę przeżyć, zmusił do intensywnego myślenia, a przy tym przeplatał te jednodniowe rekolekcje chwilami zupełnego odprężenia, nawet w czasie nauk dobierając humorystyczne przykłady, z których śmieliśmy się do łez. Czego w tym jednym dniu ten człowiek o niespożytych siłach nie pomieścił: Msza prawdziwie przeżyta. Pięć bitych godzin nauk rekolekcyjnych. Chrzest dziecka, którego rodzice należą do bejruckiej grupy „Jeunes Ménages“. Chrzciny oblewane szampanem. Wspólna fotografia, do której goście z kielichami w ręku, ojciec Clémens zwoływał czymś w rodzaju „jodlowania“.

Jest dla mnie tajemnicą, jak to ojciec Clémens wśród najwyższego napięcia naszej wesołości i rozbawienia, potrafił jednym klaśnięciem w dłonie skupić niepodzielnie naszą uwagę na zagadnieniach życia duchowego. Nie mogę też zrozumieć, skąd czerpał tyle sił fizycznych. No, bo gdy my w przerwie między jedną a drugą nauką przechadzaliśmy się lub jeździli konno cienistymi alejami ogromnego parku, ojciec Clémens miał jeszcze dodatkowe konferencje w cztery oczy z chętnymi.

W tym jednym dniu zrozumiałam wiele. Świętość życia nie niszczy, nie spycha z toru, nie gnębi, nie tłamsi, lecz skierowuje je ku właściwemu celowi. Mistyka życie usprawnia do lotu, dodaje mu skrzydeł. Na ten jeden dzień spróbowałam zastosować receptę ojca Clémensa: zapomnieć o sobie, nastawić całe swoje „ja“ na służbę bliźniemu, pamiętać, że dwa są największe przykazania Boże — miłość Boga i bliźniego. Uczyniło to dzień ten jednym z najpiękniejszych w życiu. zrozumiałam, że to jest sposób na osiągnięcie najwyższej, nieznanej mi szczęśliwości.

Nawet gdy mi jedna z pań przerwała samotne pod drzewem rozważania, gdy sobie mozolnie układałam rozmowę z ojcem Clémensem (do której nie doszło z powodu owej bliźniej), wcale nie odesłałam jej w duchu do stu diabłów, ale wręcz przeciwnie — wydała mi się miłą i sympatyczną osobą!

Trafiły mi też bardzo do przekonania wywody ojca Clémensa, że zlecenia misyjne Chrystusa odnoszą się nie tylko do papieża i hierarchii kościelnej, ale do nas wszystkich — członków Kościoła, i że apostolska działalność, to powinność, od której nikomu uchylić się nie można.

Po nieszporach rozstajemy się z księdzem. On jedzie do Aleppo, my — do Bejrutu. Drogi nasze się rozchodzą. Mówimy przy pożegnaniu, że pewno już go nigdy nie spotkamy. Polacy wkrótce wyjadą z Libanu.

— O, mówi ojciec Clémens, uśmiechając się rozbrajająco — mais il n'y a pas des distances.

Tak, nie ma granic, nie ma przestrzeni, ludzie ożywieni jedną ideą są sobie zawsze b l i s c y.

Warczy autobus, śmiga serpentynami, mknie nad przepaściami, z których parują chmury. My kołami autobusu miażdżymy je, depcemy, wznosimy się wyżej i wyżej. Śpiewa cały autobus, Francuzi umyślnie wybierają pieśni znane także i nam.

Rozstajemy się w Bejrucie, wiedząc, że się już nigdy nie spotkamy.

— Mais... au revoir — i powtarzają za księdzem Clémensem — il n'y a pas des distances...

Irena Hradyska

KRONIKA KULTURALNA

HISTORIOGRAFIA

W związku z przypadającym w tym roku stuleciem przywrócenia w Anglii i Walii hierarchii kościelnej rzymsko - katolickiej (przez papieża Piusa IX) odbędzie się kongres duchowieństwa angielskiego i walijskiego oraz będzie otwarta w Londynie wystawa historyczna, ilustrująca dzieje Kościoła w Anglii i Walii od najdawniejszych czasów, poprzez reformację, aż do chwili obecnej. Duża część wystawy składać się będzie z ilustracji i diagramów, jednak przewidziane jest także pokazanie licznych dokumentów i pamiątek historycznych. Organizatorem wystawy jest specjalny komitet, wyłoniony przez „Catholic Truth Society“.

ICHTIOLOGIA

Każdemu miłośnikowi natury, która stwarza rzeczy dziwne i piękne, zaleca się odwiedzenie wystawy ryb (National Aquarium Exhibition) w Royal Horticultural Hall w Londynie. Można tam oglądać zdumiewające okazy fauny rzecznej i morskiej: ryby ogoniaste, ciągnące za sobą wspaniałe treny, równie wiotkie i powiewne jak welony panien młodych, ryby - tygrysy, których ciało ozdabiają czarne i pomarańczowe pręgi, prześliczne, jakby w aksamit odziane ryby o angielskiej nazwie Shenop Mollies, malutkie rybki z oczami w kształcie teleskopów etc. etc. Wystawa ta została zorganizowana przez stowarzyszenie miłośników ryb, składające się z ludzi rożnych profesji (przeważnie robotników), którzy uczynili swą „hobby“ opiekę i hodowlę ryb, pytonów, aligatorów i podobnych stworzeń. Na wystawie można nabyć pytony (od £.10 w górę!), które amatorzy okręcają wokoło szyi jak futrzane boa, lub małe aligatory dające się prowadzić na smyczy.

LITERATURA

Już o tym pisaliśmy, ale nie zawadzi przypomnieć, że nakładem firmy Hutchison ukazało się nowe wydanie autobiografii Chestertona („Autobiography“ by G. K. Chesterton, cena 12 s. 6 d.).

Aczkolwiek kończona na łożu śmiertelnym, gdy pióro zawodziło już czasem wielkiego pisarza, autobiografia ta posiada wszystkie cechy stylu chestertonowskiego: świeżość, błyskotliwość, paradoksalność, kontrowersyjność, ostrą ironię i mnóstwo zdrowego rozsądku. „Autobiografia“ jest kopalnią materiału o rozwoju wewnętrznym ciągle zapładniającego fenomenu, jakim był Chesterton. Krytyk „Catholic Herald'a p. W. J. Igoe specjalnie wysoko stawia pierwsze dwa i ostatni rozdział „Autobiografii“. W ostatnim, zatytułowanym „The God with the golden Key“ autor tak odpowiada na wątpliwości współczesnego pesymizmu: „Człowiek nie potrafi dojść do podeszłego wieku nie zaznawszy udręki życia; co do mnie, to postarzałem się nie zaznawszy nudy“. „*Existence* — (kończy Chesterton zdaniem, które w przekładzie straciłoby swój wydźwięk) —*is still a strange thing to me; and as a stranger I give it welcome*“.

TEATR

Tygodnik „The Tablet“ zamieścił opis tegorocznego przedstawienia pasyjnego w bawarskiej wiosce Oberammergau. Warto przypomnieć, że w r. 1634 ta mała wieś górska została nawiedzona zarazą i wówczas to ludność uczyniła ślub, że jeśli żniwo śmierci ustanie, zostaną wznowione, przerwane od lat stu, przedstawienia pasyjne i na przyszłość będą dawane regularnie co dziesięć lat. W momencie tego zbiorowego ślubu liczba zmarłych od zarazy mieszkańców wynosiła 84 (na ogólną liczbę paruset), lecz po jego złożeniu podobno nikt już od zarazy nie umarł. Ślub był dotrzymywany lojalnie przez pokolenia mieszkańców — przesunięcia i przerwy były usprawiedliwione wojnami i katastrofami żywiołowymi. Początkowo przedstawienia pasyjne w Oberammergau odbywały się na małą skalę, dopiero na początku bieżącego stulecia energiczny proboszcz ks. Daisenberger zbudował wielki teatr ze sceną na wolnym powietrzu (przypominający wyglądem londyńską stację kolejową Victoria). Teatr ten mieści 5.000 osób. Innym człowiekiem najbardziej zasłużonym w tej imprezie jest Anton Lang, który grał rolę Chrystusa w latach 1900, 1910 i 1922.

Obecnie pasje w Oberammergau stanowią olbrzymie przedsięwzięcie, dające poważne dochody ludności wioski, gdyż zjeżdżają się na nie ciekawi z całego świata. Z tego powodu niektórzy dość krytycznie odnoszą się do motywów czysto religijnych i pobożności wykonawców. Tym nie mniej przedstawienia te zasługują na uwagę jako swoiste zjawisko kulturalno - religijne.

Ostatnie przedstawienie zaczęło się o g. 8 rano wejściem na olbrzymią scenę kilkusetosobowego chóru w strojach wschodnich i klasycznych. Na czele kroczył Anton Lang, grający w pierwszym obrazie rolę astrologa, recytującego słowa prologu. Po opróżnieniu sceny właściwy spektakl rozpoczyna się tryumfalnym wjazdem Chrystusa Pana do Jerozolimy — około 1000 statystów powiększa efekt realistyczny tej, tak jak i następnych scen, pokazywanych kolejno w ciągu wielu godzin. Sprawozdawca „The Tablet“ zwierza się, że z początku czuł się dziwnie, widząc na scenie białą postać Chrystusa, zakurzonych Apostołów, żołnierzy rzymskich i inne osoby tak dobrze znane z Pisma Świętego — żywe, poruszające się i mówiące. Scena ukrzyżowania pokazana została z wielkim jak twierdzi korespondent angielski, wstrząsającym realizmem. Aktor grający rolę Chrystusa pozostawał na krzyżu przez dwadzieścia minut, a „łotrzy“ nawet dłużej.

Napływ widzów do Oberammergau był w tym roku wielki, przy czym połowę stanowili Amerykanie. Specjalny urząd rozdzielał kwatery w hotelach i u mieszkańców..

PLASTYKA

„Catholic Herald“ zamieszcza w każdym numerze „modlitwy zawodowe“ („professional prayers“), niekiedy bardzo piękne, wzruszające i odważne. Do tej ostatniej kategorii zaliczam drukowaną niedawno „Modlitwę prostytutki“ i opublikowaną w ostatnim numerze „Modlitwę artysty“. Chodzi tu o artystę plastyka, bolejącego nad szpetotą dzisiejszych kościołów angielskich. Oto przekład tej modlitwy:

„O Panie Sztuki i Piękna, czy znasz to dziwne uczucie kochającego syna, którego leciwa i czcigodna Matka ubiera się jak młoda dziewczyna? Syn kocha Ją i nie ma odwagi powiedzieć Jej jak bardzo się ośmiesza. Tak, Panie, to są moje własne uczucia, gdy wchodzę do licznych naszych kościołów, gdy patrzę na ołtarze i statuy. Moją ambicją jest rozprawić się z całą garderobą mej Matki. Czy jest to popędliwość, albo zawodowa pycha? Ty, Panie wiesz najlepiej; ja wiem tylko, że kocham moją Matkę i pragnę uwolnić Ją od błyskotliwych ozdóbek z pracowni Rafaelitów. Pragnę ubrać Ją w takim stylu, który objawiałby Kościół nie jako zwykłą dziewczynę, lecz jako Małżonkę Chrystusa i Matkę wszystkich wiernych; w stylu, który by podkreślał jego męskość, kolorem i rzeźbą ujawniał Jego cierpienia, Jego męstwo i wrogość wobec zła i grzechu. Chrześcijaństwo to szorstka sprawa: to nie niebieskie wstążki i szarfy, kwiaty i uśmiechy. Czy nie uczyniliśmy Kościoła Katolickiego zbyt kobiecym, zapominając o krzepkości Kazania na Górze? O, Panie, Ty najlepiej to ocenisz: jeśli jestem w błędzie — sprostuj go; jeśli mam rację — prowadź mnie, a w każdym razie natchnij mnie miłością piękna, które tak niezawodnie objawia Twoje istnienie i Twoją Prawdę. Amen.“

ZJAZD ARTYSTÓW KATOLIKÓW W RZYMIE

W dniach od 1 do 5 września odbędzie się w ramach przedsięwzięć Roku Świętego rzymski zjazd artystów - katolików, reprezentujących wszystkie gałęzie sztuki (także muzykę). Przedmiotem obrad będzie m. in. architektura kościelna i te działy nauk technicznych, które wchodzą w zakres budownictwa kościelnego. Każdy artysta, który może i chce wziąć udział w kongresie, powinien zgłosić swe personalia pod adresem: M. Alberto Ghislanzoni, Secretary, of the Organising Committee, Via della Conciliazione, 1, Roma. Koszt udziału w zjeździe wyniesie około £. 1 za dzień.

CZY PAMIĘTASZ

O

KATOLICKICH

NAGRODACH

LITERACKICH?

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

STULECIE HIERARCHII BRYTYJSKIEJ

W roku bieżącym katolicy angielscy obchodzą setną rocznicę wznowienia w roku 1850 — po trzech wiekach przerwy — hierarchii angielskiej.

Od czasów reformacji po rok 1850, Anglia traktowana była z punktu widzenia kościelnego jako kraj misyjny. Władzę biskupią nad katolikami w Anglii sprawowali prefekci i wikariusze apostolscy, jak w krajach misyjnych. Dopiero w roku 1850 Ojciec święty ustanowił tu wznowioną, regularną hierarchię, z arcybiskupami i biskupami na czele.

Stulecie wznowienia hierarchii obchodzone będzie bardzo uroczyście.

PRÓBKA AMERYKAŃSKIEGO KATOLICYZMU

Jest w stanie Iowa, w Stanach Zjednoczonych, katolicka wieś, nazywająca się St. Lucas i mająca 600 mieszkańców. Wyświęcono w niej w tych dniach 3 nowych księży. W sumie ta mała wieś dała Kościołowi razem 16 księży żyjących obecnie, oraz 50 zakonnic i 3 braci zakonnych.

„UCZCIE SIĘ RZEMIOSŁA"

Klerykom chińskim, mającym pracować jako księża w Chinach komunistycznych, Kościół daje radę: uczcie się zawodów. Zachęcani są oni do studiowania medycyny tropikalnej, mechaniki, kowalstwa, ślusarstwa, drukarstwa, ciesielstwa, tkactwa i podobnych zawodów. Będą bowiem musieli — tak jak św. Paweł—utrzymywać się z pracy rąk własnych.

BYŁOBY DZIESIĘĆ MILIONÓW KATOLIKÓW...

W Anglii i Walii jest dziś 3 i pół miliona katolików. Byłoby ich jednak 10 milionów, gdyby nie odpadła od wiary wielka masa ludzi pochodzenia irlandzkiego. Tyle ich bowiem w Anglii i Walii przebywa, — jak pisze The Universe.

SZWECJA ZACHOWUJE PRAWA ANTYKATOLICKIE

W ostatnich kilku latach dużo się mówiło o tym, że w Szwecji opracowywane jest nowe ustawodawstwo, mające zapewnić katolikom równouprawnienie.

W tych dniach ukazał się raport komisji rządowej, która opracowała wnioski dotyczące owego nowego ustawodawstwa. Jak się okazuje, zamierzone reformy tylko bardzo nieznacznie poprawiają położenie Kościoła katolickiego i ludności katolickiej w Szwecji. Duża część dotychczasowych praw antykatolickich pozostaje nadal w mocy.

Wedle wniosków komisji, będzie odtąd można zakładać w Szwecji szkoły katolickie. Będą one pod zarządem państwowym, nie kościelnym, jednak Kościół będzie musiał na nie łożyć pieniądze. Dzieci katolickie w szkołach niekatolickich będą odtąd zwolnione od przymusu uczęszczania na lekcje religii protestanckiej, będą jednak musiały przed protestanckimi władzami szkolnymi składać egzamin ze znajomości doktryny katolickiej. Dziecko protestanckie będzie mogło uczęszczać do szkoły katolickiej tylko za indywidualnym zezwoleniem króla.

Katolik, wstępujący w związek małżeński, musi po staremu zawiadomić o tym protestanckiego pastora w parafii, na której terenie mieszka.

Ma być cofnięty zakaz zajmowania przez katolików wyższych stanowisk urzędniczych. Zakaz ten ma jednak pozostać nadal w mocy w Ministerstwie Sprawiedliwości i Ministerstwie Oświecenia.

Zakaz zakładania klasztorów pozostaje nadal w mocy, jednak za zezwoleniem króla niektóre zgromadzenia zakonne będą mogły otworzyć małe domy zakonne, ze ściśle określoną liczbą członków, wyłącznie Szwedów. O szkołach klasztornych, rzecz prosta, nadal nie ma mowy.

Katolików w Szwecji było przed 1939 rokiem 11.000, z nich tylko część stanowili Szwedzi. Dzisiaj jest w Szwecji 17.000 katolików, ten jednak znaczny wzrost jest tylko w drobnej mierze wynikiem nowych nawróceń, głównie natomiast jest do zawdzięczenia napływowi uchodźców, przede wszystkim polskich, a poza tym litewskich, łotewskich, węgierskich i sudecko-niemieckich.

Od roku 1783 Szwecja stanowi Wikariat Apostolski; dzisiejszym wikariuszem jest J. E. X. biskup Mueller, narodowości niemieckiej, a jego zastępcą J. E. ks. biskup Ansgar Nelson z Zakonu Benedyktynów, narodowości duńskiej.

LISTY DO REDAKCJI

Jeszcze o »Problemacie zabójstwa«

GORZKIE ALE ZBAWIENNE LEKARSTWO

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie należy sądzić, że rząd polski w Londynie gorąco pragnął, by walka z Niemcami w Polsce przybrała jak największe rozmiary, nie bacząc na ofiary. Słowa p. Kossak-Szczuckiej „Niech widzą nas jak umieramy" są echem poetyckiego utworu i napewno nie znajdowały się w żadnej instrukcji rządowej. Gdy w listopadzie 1944 r. wszedłem do rządu z ramienia Stronnictwa Pracy, miałem sposobność osobiście przekonać się, jak dbano o to, by nie narażać Kraju na niepotrzebne straty. Coprawda było to już w końcowej fazie wojny, po powstaniu warszawskim. Jak było za czasów gen. Sikorskiego i Mikołajczyka, tego dokładnie nie wiem, ale i wtedy nie podżegano bezmyślnie do jak najostrzejszej walki. Najlepszy dowód, że przez dłuższy czas propaganda komunistyczna oskarżała „polski Londyn", jakoby dał rozkaz czekania „z bronią u nogi", aż się wykrwawią oba totalizmy, czerwony i brunatny.

Sprawa nie była łatwa. Istnienie polskiego ruchu podziemnego zależało w pewnym stopniu od poparcia Brytyjczyków. Ci zaś gotowi byli zrzucać z samolotów broń i pieniądze, ale pod warunkiem, że Armia Krajowa będzie jak najenergiczniej walczyć z Niemcami. Mogli i w Polsce zrobić to samo co w Jugosławii czyli przerzucić swe poparcie na kogo innego. Gen. Bór-Komorowski mógł się okazać polskim Michajłowiczem, „kolaborującym" z Niemcami, a ubóstwianym bohaterem byłby wtedy Rola-Żymierski lub jakiś inny „polski Tito"...

Są to zagadnienia bardzo skomplikowane, ściśle powiązane z polityką mocarstw wobec Polski. Nie sądzę, żeby już teraz można było mówić na ten temat wszystko całkiem szczerze i otwarcie Musi upłynąć więcej czasu, musimy poznać więcej tajnych dokumentów, a nie wydawnictw propagandowych

Ale w dyskusji, jaką wywołał p. Giertych, nie ta sprawa jest najważniejszą. Jego twierdzenie, że „Polska ma ręce splamione krwią" jest wysoce niefortunne i nie powinno się było ukazać, ale mimo to chciałbym p. Giertychowi przyjść z pomocą. Jest bowiem w ciężkim położeniu, jak zresztą każdy usiłujący czynić Polakom wyrzuty i krytykować polityczne posunięcia z etycznego punktu widzenia. Kto schlebia, świadomie lub nieświadomie, może liczyć na poklask i uznanie. Ale biada temu, kto próbuje strofować, karcić, upominać! Miałby się z pyszna ks. Piotr Skarga, gdyby w naszych czasach próbował wygłaszać swe słynne „Kazania".

Szanse w dyskusji są również i dlatego nierówne, że ten, co wie coś o naszych błędach czy winach, musi się liczyć z tym, że ujawnienie tego mogłoby być wyzyskane przez wrogą Polsce propagandę. Dlatego wolę nie polemizować z twierdzeniami, że po naszej stronie było „za dużo rycerskości" albo z poglądem p. Kossak-Szczuckiej, że żadnemu jeńcowi niemieckiemu podczas powstania warszawskiego nic złego się nie stało.

Niewątpliwie było dużo jednostek bohaterskich w Armi Krajowej i jej ofiarny wysiłek zasługuje na szacunek. Ale ogólnie biorąc, w ruchu podziemnym jak zresztą i na emigracji, zbyt mało mówiło się o etyce, zbyt często o zemście.

Pewna część emigracji trwa jeszcze w nacjonalistycznym zaślepieniu i zacietrzewieniu. Nie potrafi spokojnie i objektywnie rozważać zagadnień aktualnych i z niedalekiej przeszłości. Przekonałem się o tym przed rokiem, gdy w tymże ŻYCIU pisałem o katolikach niemieckich i ich stosunku do Polski, gdy w bardzo oględnej formie omawiałem sprawę linii Odry i Nissy oraz wysiedlenia Niemców. Byli ludzie, którzy przyznawali mi rację, ale były też protesty i to aż z N. Zelandii. Gdy w innym tygodniku napisałem artykuł o powstaniu (pt. „Nie musiało trwać 63 dni"), znów mnie ostro zaatakowano.

Te nacjonalistyczne, a czasem wręcz szowinistyczne nastroje, pokutujące jeszcze w wielu głowach, były źródłem wielu naszych pomyłek, klęsk i katastrof. Dlatego artykuły takie jak dwa ostatnie p. Giertycha, chociaż nie wolne od twierdzeń przejaskrawionych i niesłusznych, działają jak gorzkie, przykre, ale zbawienne lekarstwo.

Stanisław Sopicki

KTO JEST AUTOREM?

Szanowny Panie Redaktorze!

W nr. 26 ŻYCIA, w liście do Redakcji, p. Jerzy Thoma podejmuje z oburzeniem cytatę: „Niech widzą nas jak umieramy", — zamieszczoną w artykule „Krzywdząca ocena" (jubileuszowy nr. ŻYCIA) i pisze:

—... „ktokolwiek był autorem cytowanej przez p. Kossak wypowiedzi, nie mógł to być człowiek, który doceniał znaczenie życia, nie mógł to być patriota, któremu leżało na sercu życie współobywateli, nie mógł to być przede wszystkim katolik".

Nie wchodząc w dyskusję nad właściwym sensem, w jakim inkryminowane słowa zostały użyte, informuję najuprzejmiej p. Thomę, że autorem cytaty jest Juliusz Słowacki. („Pogrzeb kpt. Meissnera").

Z.K.

(Nazwisko i adres znane Redakcji)

O JEŃCACH, NIEWOLI I AK

Szanowny Panie Redaktorze!

Pragnę odpowiedzieć na listy pp. H. Kaniewskiego i mjr. dypl. S. Żochowskiego w sprawie „Problematu zabójstw". P. Kaniewskiemu mogę odpowiedzieć tylko tyle, żeby zamiast ograniczać się do przeczytania paru wyrwanych z kontekstu zdań z mego artykułu, które przytoczyła p. Kossak, zadał sobie trud przeczytania tego artykułu w całości. A ewentualnie także i mej odpowiedzi na protest p. Kossak, oraz mego rozdziału o A.K. w książce „Pół wieku polskiej polityki" (str. 133—163). A wtedy, gdy to przeczyta, żeby się zapytał swego zdrowego rozsądku i swego sumienia — czy aby nie mam racji.

Na wiele z tego, co pisze mjr. Żochowski, najzupełniej się zgadzam i w replice jego widzę rezultat tego, że i on mój artykuł przeczytał nieuważnie. Nawet na jego uwagi o samobójstwie zgrubsza mogę się zgodzić: i ja też nie jestem pewien, czy samobójstwo dla ratowania przed torturami nie swoich tajemnic będzie przez Boga potępione narówni z samobójstwem zwykłym. Dawanie jednak rady samobójstwa lub rozkazu samobójstwa podkomendnym — to rzecz całkiem inna.

Muszę jednak zaprotestować przeciwko twierdzeniu, podanemu w tonie aprobaty, że o prawie międzynarodowym myślano w A. K. „jak o martwej literze". Wierzę, że tak nie było. Temu właśnie, że tak nie było, zawdzięczamy uznanie powstańców warszawskich — w końcu — za stronę wojującą. Prawa międzynarodowego za martwą literę uważać nie wolno. Powtarzam: jesteśmy narodem cywilizowanym; noblesse oblige.

Jest rzeczą zadziwiającą, jak łatwo skłonni jesteśmy do wpadania w skrajności: to w niczym nie usprawiedliwioną, pojednawczą ustępliwość, dyktowaną sentymentalizmem, w rodzaju gotowości do ustępowania sąsiadom bez powodu spornych terytoriów, to znów w cynizm, który chciałby wszelkie normy moralne i prawne złożyć do lamusa. (Słowa p. Kaniewskiego, że powstańcy w Warszawie okazywali Niemcom „za dużo rycerskości", doprawdy budzą uczucie wstydu. Co to ma znaczyć? Jeśli to nie jest frazes bez treści, to co p. Kaniewski w stosunku do tych Niemców jako właściwy sposób postępowania proponuje?) Uczciwa i męska droga postępowania ani nie jest sentymentalnie miękka i naiwna, ani nie jest cyniczna. Jedną z właściwości dobrego żołnierza jest, że dobrze zna regulaminy i regulaminów tych się trzyma. A w regulaminach są i normy prawa międzynarodowego o wojnie. Także i niemało o ludności cywilnej, chwytającej za broń.

To byłoby wszystko. Chcę jednak — na marginesie tego, co pisze p. Żochowski — napisać coś jeszcze. Pan Żochowski wytyka mi — delikatnie — że zabieram głos w sprawie A.K., choć siedziałem w niewoli, jako jeniec. Nie zwróciłbym na ten moment uwagi, gdyby nie to, że spotykam się z tym momentem nie po raz pierwszy. Bo artykuł mój o „Problemacie zabójstwa" wywołał reakcję nie tylko na łamach ŻYCIA. Otrzymałem w tej sprawie też i listy prywatne. Oraz słyszałem dużo — bardzo dużo — relacji o wypowiedziach ustnych. Nie mogę uniknąć wrażenia, że artykuł mój stał się argumentem, czy pretekstem w jakiejś obcej przedmiotowi sporu propagandzie. Nawiasowo mówiąc, najgłośniej, jak słyszę, protestują przeciw temu, co napisałem, ci, co artykułu mego, tak jak p. Kaniewski, nie zadali sobie trudu wogóle przeczytać. Otóż powtarzającym się motywem w tych protestach jest oburzony okrzyk: jeniec nie ma prawa zabierać głosu na temat A.K.

Nie p. Żochowskiemu, ale tym innym, których głosy do mnie doszły, pragnę na to odpowiedzieć: Mamy prawo zabierać głos na temat AK i Polski Podziemnej, tak jak na każdy inny temat życia narodowego. Pod żadnym pręgierzem, któryby nas z udziału w życiu polskim eliminował, nie jesteśmy. Dlatego dostaliśmy się do niewoli, bo na wojnę poszliśmy już w pierwszej godzinie jej trwania. Jeśli idzie o mnie, należałem do załogi Helu, a więc znalazłem się w takim worku, z którego nie było ucieczki. Próbowałem uciec łodzią wiosłową do Szwecji, ale łódź mi wywróciło. Później, w ciągu pięciu lat niewoli, przedsięwziąłem z górą trzydzieści prób ucieczki, — nie po to, by wrócić do domu, lecz by się dostać do Anglii i by się zgłosić tam, gdzie było moje jako oficera marynarki miejsce: na okręt. Sześć razy rzeczywiście uciekłem. Wyskoczyłem w nocy w biegu przez okno z pociągu. Z obozu karnego w starym forcie w górach Sudeckich uciekłem przez dziurę, scyzorykami wydłubaną w murze, zjeżdżając do fosy po linie, zrobionej ze związanych prześcieradeł. Wyjechałem z obozu na furze od śmieci, przykryty kocem i przysypany gorącym popiołem ze śmietników. Parę razy byłem o włos od sukcesu: dwa razy złapała mnie straż graniczna, gdy się przekradałem przez granicę Rzeszy. Raz wydał mnie portier ambasady hiszpańskiej w Berlinie, gdzie się zgłosiłem po rewanż za 40 oficerów generała Franco, którym ambasada polska w czerwonym Madrycie udzieliła w 1936 roku azylu. Myślę, że jako żołnierz nie mam sobie za czas pobytu w niewoli nic do wyrzucenia. A nie były to igraszki sportowe: już po pierwszej ucieczce oświadczono mi urzędowo, że następnym razem będę zastrzelony. Ominął mnie ten los tylko dzięki niezwykłym splotom „szczęść w nieszczęściu".

A to nie była pierwsza wojna, na którą poszedłem. Jako ochotnik siedemnastoletni biłem się w 1920 roku. W sam dzień 15 sierpnia, nad Wkrą, byłem ranny. Byłem ranny, gdy przeszedłem rzekę wbród, w natarciu, po piersi w wodzie, z bagnetem w ręku, — w chwili, gdy z okrzykiem „hurra" wyszedłem na nieprzyjacielski brzeg. A gdy miałem lat 15, pełniłem służbę przy rozbrajaniu w Kielcach Austriaków.

My wszyscy, którzyśmy byli w niewoli, byliśmy żołnierzami. I też mieliśmy nasze przeżycia, nasze gorzkie nieraz trudy, nasze wysiłki i ryzyka. Ja wiem, co to jest więzienie Gestapo, bo w nim byłem. I podróże z kajdankami na rękach też odbywałem. I znam uczucie, gdy człowieka prowadzą z karabinami na „gotuj broń" przez podejrzane wertepy, — uczucie jakby łaskotania w plecach: dostanę w plecy kulkę, czy też nie dostanę? I dotąd mam znaki na nodze od ukąszeń psa policyjnego, którego na mnie poszczuto. I widziałem pogrzeb kolegów, ujętych w przedsięwzięciu, w którym brałem udział, którzy wrócili po torturach w puszce-popielniku z krematorium. Nasze spostrzeżenia i przeżycia też należą do historii polskiego narodu w tej wojnie. Są wprawdzie ludzie, których niewola wykoleiła i zdemoralizowała; ale to nie znaczy, by nasz własny, odrębny, na naszych doświadczeniach oparty punkt widzenia miał nie zasługiwać na to, by być wziętym, obok innych, w rachubę.

Między innymi, dlatego, że byłem jeńcem, — właśnie dlatego, że byłem jeńcem, — mam zarówno prawo, jak i obowiązek przypomnieć okoliczność nie pozbawioną znaczenia: mimo wszystkich uchybień, których było sporo, oraz mimo wypadków wyjątkowych, prawo międzynarodowe (to znaczy konwencja genewska o traktowaniu jeńców), zostało przez Niemców w stosunku do nas, polskich jeńców, — a były nas tysiące, — w liniach zasadniczych dotrzymane. I co więcej, byli w wojsku niemieckim ludzie, którzy o możność uczciwego zastosowania wobec nas reguł prawa międzynarodowego odważnie i skutecznie z hitlerowcami walczyli.

Widywałem Niemców, dla których prawo międzynarodowe martwą literą nie było; że było ich niewielu — to nie ma nic do rzeczy. W tych warunkach, nie powiem, żeby mnie zachwycał widok niektórych Polaków, o których z równą pochwałą wypowiedzieć się nie mogę. Moja duma Polaka sprawia, że wolałbym, byśmy nad Niemcami górowali, jako naród cywilizowany, rycerski i chrześcijański, zawsze.

I mogę jeszcze dodać jedno. Na dalszą metę, droga skrupulatnie zgodna z sumieniem, opłaca się najlepiej. Żadne tłumaczenia, że sytuacja była zupełnie wyjątkowa, tego nie zmienią.

Jędrzej Giertych

W SPRAWIE BURŻUJSTWA

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę uprzejmie o zamieszczenie poniższego listu w odpowiedzi na artykuł p. St. Stommy „Na czym polega burżujstwo?" (ŻYCIE z 4. 6. 50 nr. 23/154, str. 3):

P. St. Stomma stara się przedstawić czytelnikowi swój katolicyzm jako postawę heroiczną i rewolucyjną: „nie waham się powiedzieć — postawa katolicka jest postawą buntu". A przeciw komu to się p. Stomma w tymże artykule tak heroicznie „buntuje"? Przeciw... Sienkiewiczowi i jego Maryni Połanieckiej.

Bunt jest wtedy heroiczny, kiedy się kieruje przeciw przemocy i naraża buntowników na ryzyko ofiary. „Bunt" p. Stommy, zwracając się dzisiaj przeciw t.zw. „połanieccyznie", czyli przeciw zaszczutemu i zgnębionemu przez policję polityczną okupanta mitowi, jest nie tyle buntem co przysłowiowym skakaniem na pochyłe drzewo. Jest to w istocie rzeczy usłużność wobec buntu, ale sprawującego władzę. Postawa taka wywodzi się chyba z tradycji kierunków, które za caratu „buntowały się" przeciw rewolucji, gnębionej całą potęgą ówczesnego dyspotyzmu.

Łączę wyrazy poważania

Zdzisław STAHL

104 Holland Road
London W. 14.

(W imię obiektywizmu umieszczamy list p. Stahla, jakkolwiek nie godzimy się ze stanowiskiemu przez niego zajętym. Do sprawy poruszonej w tym liście powrócimy w najbliższym czasie. RED.)

GROCH O ŚCIANĘ

Szanowny Panie!

Dnia 1 maja 1950 r. zmieniłem adres i wkrótce po tym powiadomiłem o tej zmianie Administrację ŻYCIA, prosząc o przysyłanie mi pisma na załączony nowy adres. Na koszta związane ze zmianą adresu załączyłem —1/- (jeden szyling).

Groch na ścianę.

Do dnia dzisiejszego ŻYCIE jest wysyłane na stary adres, wywołując. najprawdopodobniej komentarze w rodzaju: ale ten Malkiewicz — to bałaganiarz; już drugi miesiąc tu nie mieszka, a jeszcze nie powiadomił o tym Administracji ŻYCIA.

By już raz to wreszcie zakończyć, niniejszym przesyłam gotowe kartki z moim obecnym adresem z uprzejmą prośbą o smarowanie klejem nie tej strony, na której jest adres, lecz odwrotnej.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

P. Malkiewicz

201, Warham Street,
London, S.E.5.

(Administracja z pokorą przyznaje się do winy. Dzękuje bardzo za kilkadziesiąt kartek z adresem, które, o ile upały pozwolą, będzie usiłowała naklejać z właściwej strony).

NA MARGINESIE

CZERWONY DZIEKAN

NIEDAWNO w Londynie na obiedzie wydanym przez prezydenta miasta wzniesiono toast na cześć: „Arcybiskupów, Biskupów i duchowieństwa Kościoła Anglikańskiego zarówno tych, którzy są w kraju jak tych, którzy przebywają za morzami". W odpowiedzi zabrał głos dr Fisher, anglikański Arcybiskup Canterbury. Z pewnym zakłopotaniem zaczął on od stwierdzenia, że zespół, o którym w toaście mowa „jest ciałem dosyć przypadkowym". „Mam na myśli, powiedział, naprzykład takiego Dziekana z Canterbury. Wątpię, czy jego słowa mnie by dogadzały, a moje jemu. Toast odnosi się do tych, którzy są w domu a też za morzami, a ja właśnie nigdy nie wiem, czy Dziekan z Canterbury jest w domu, czy jest za morzami. Gdy jest w domu, pragnąłbym, by był za morzami, a gdy jest za morzami, jeszcze bardziej pragnę, by był w domu".

Swe dowcipne przemówienie Dr Fisher zakończył zapewnieniem, że Czerwony Dziekan „chociaż nieraz się myli" nigdy nie jest nielojalnym w interpretacji zasad chrześcijańskiej wiary. Okazuje się jednak, że umie to połączyć ze zbyt wielką lojalnością w stosunku do wrogów wiary chrześcijańskiej, bo Stany Zjednoczone i Kanada ododmówiły „wielkiemu chrześcijaninowi", jak go nazwał Dr Fisher, wizy pobytowej. Powody są przejrzyste.

WIECZNE PRAWDY

W IZBIE Lordów Earl Darnley wszczął dyskusję na temat konieczności zreformowania ludzkości, której grozi zagłada. Będąc u rozstajnych dróg, musi ona jedną z nich wybrać. Droga prowadząca do ideałów ale poprzez wojnę prowadzi do zguby. Anglia może światu wskazać nowe metody: „porządku wiecznego". Gubiąc się w mętnych wywodach szlachetny lord zaczął od roli Kościoła a skończył na „wyciągniętej do wroga dłoni".

Lord Blackford, który mu odpowiadał, wykpiwał nadzieje, związane z rozmówkami Trumana i Stalina w Hotelu Claridge stwierdzając, że zło wynika ze zmniejszenia wpływów chrześcijaństwa. Przytoczył przykład. W czasie wojny jego matka przygarnęła 24 dzieci pochodzących z jednego z miast portowych W. Brytanii. Okazało się że wśród nich tylko cztery bywały w kościele i miały pojęcie o katechizmie. „Wiele można zrobić, zakończył lord Blackford, zapobiegając temu by wzrastająca młodzież nie żyła w pogaństwie".

Nie ma „nowych metod", ale są napewno wieczne prawdy.

NA DOBREJ DRODZE

MECENAS Zbigniew Stypułkowski przemówił ostatnio w języku angielskim do słuchaczy brytyjskiego radia, dając na tle procesu 16-tu przywódców polskich w Moskwie obraz metod, przy pomocy których sowiecki sędzia preparuje swe ofiary i uzyskuje ich przyznanie się do win, nigdy nie popełnionych. Jest zastanawiające, jak wielkie ta audycja wywołała wrażenie. Świadczą o tym nie tylko bardzo liczne listy, które nadeszły do BBC, ale i oddźwięk w sferach politycznych i naukowych W. Brytanii. Wybitni autorzy zwrócili się do p. Stypułkowskiego o prawo włączenia jego świadectwa do swych książek, zaproszony został do wygłoszenia odczytu w Cambridge, prof. G Murray powołuje się w „Times" na jego opinię jako autorytatywną w swych rozważaniach na temat Rosji, jeden z b. wpływowych polityków określa w swym liście audycję, jako najważniejszą od czasu wojny.

Mamy w swoim ręku ważne środki oddziaływania na opinię publiczną świata zachodniego, a przez to i możliwość wpływu na bieg wydarzeń. Musimy z nich tylko robić użytek właściwy, nie zniechęcać się trudnościami i nie dewaluować ich sami przez bezmyślne przekonywanie się argumentami podrzucanymi nam przez obcych lub nawet wrogów, że „sprawa polska nie gra". x. y. z.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu.

CONRADIANA

Biblioteka Polish Research Centre w Londynie (51, Eaton Place, S.W.1) zawiera szereg interesujących pozycji bibliograficznych, dotyczących Józefa Conrada-Korzeniowskiego.

Znajduje się wśród nich egzemplarz pamiętników wuja Conrada, Tadeusza Bobrowskiego, który po zgonie ojca Conrada, Apolla Korzeniowskiego, opiekował się swym młodym siostrzeńcem, pomagając mu materialnie także w okresie gdy Conrad żeglował po morzach jako marynarz brytyjski. Bobrowski był ziemianinem na Ukrainie i cieszył się wielkim mirem wśród tamtejszego społeczeństwa polskiego. Po zgonie Bobrowskiego Władysław Spasowicz wydał drukiem jego pamiętniki; ukazały się one w dwóch tomach w r. 1900, we Lwowie. Wywołały duże zainteresowanie, równocześnie jednak wzbudziły niepokój wśród niektórych rodzin spośród Polaków na Ukrainie, które z różnych przyczyn nie zostały potraktowane przychylnie w pamiętnikach. Członkowie tych rodzin — jak głosi fama — wykupywali masowo nakład książki i to ma być przyczyną, że stanowi ona dzisiaj rzadkość bibliograficzną. Pojawiła się też we Lwowie anonimowa broszura, polemizująca gwałtownie z książką Bobrowskiego.

Egzemplarz pamiętników, znajdujący się w bibliotece Polish Research Centre, stanowił własność Conrada-Korzeniowskiego. Świadczy o tym zapisek na pierwszej kartce książki, dokonany własnoręcznie przez żonę Conrada, Jessie, a datowany w r. 1903 z Pent Farm w Kencie, gdzie wielki pisarz wówczas mieszkał. Jessie stwierdza w nim nadto, że dała książkę do oprawy w płótno. Zapisek w języku angielskim brzmi:

‚Joseph Conrad Korzeniowski.

‚These two books survived some of Joseph Conrad's many adventures and were then bound in thin paper covers. In 1903 I had them bound in cloth.

‚Pent Farm, December 3rd, 1903. Jessie Conrad Korzeniowska'.

Biblioteka Polish Research Centre zawiera również szereg pierwszych wydań dzieł Conrada, m.i. tzw. ‚druków prywatnych', odbijanych w małej ilości egzemplarzy (często tylko po 25 sztuk) dla bibliofilów. Znajduje się tam także **odbitka korektorska artykułów** Conrada p.t. ‚Poland Revisited'. opisujących jego pobyt w Krakowie w r. 1914. gdzie zaskoczył go wybuch wojny światowej. Artykuły te ukazały się w dzienniku londyńskim ‚The Daily News' później zaś weszły do zbioru szkiców Conrada **‚Notes on Life and Letters'. Wspo**mniana odbitka korektorska dotyczy jednak nie tego zbioru, lecz o**sobnego ‚druku prywatnego', wy**danego w nakładzie 25 egzemplarzy przez Thomasa J. Wise'a. Poprawki korektorskie dokonane są ręką Conrada.

Z innych pozycji w bibliotece P. R.C. wymienić należy mało znany list Conrada o Prouście. zawarty w zbiorowej książeczce pt. ‚Marcel Proust. An English Tribute'. wydanej w r. 1923 przez K. Scotta Moncrieffa. W swym krótkim przyczynku Conrad pisze o psychologicznej wnikliwości Prousta z dużym podziwem.

KRONIKA FILMOWA

Po dwudziestu latach doświadczeń i badań, duńskiemu lekarzowi dr F. H. Reynders udało się skonstruować kamerę rzucającą na ekran plastyczne obrazy świetlne, dające złudzenie trójwymiarowości. Przedtem czyniono w tym kierunku liczne próby, ale zawsze osiągano tylko częściowo pożądany efekt. Mianowicie obrazy były wprawdzie plastyczne, ale zniekształcone w sposób groteskowy. Inną wadą filmów stereoskopowych (które zwykle trzeba było oglądać przez specjalne okulary) było złudzenie, że ludzie i przedmioty wychodzą z ekranu i zbliżają się do widza.

Wynalazek doktora duńskiego nie ma tych wad. Sceny trzymają się w ramach ekranu, posiadają jednak naturalną głębię i perspektywę. Ekran wydaje się oknem, przez które patrzymy w inną rzeczywistość.

Ciekawe są przyczyny, które naprowadziły dra Reyndersa na doświadczenia kinematograficzne. Będąc lekarzem wojskowym, w. r. 1920 badał on licznych pilotów, przy czym zauważył on wielkie różnice w ocenianiu odległości u różnych indywiduów. Okazało się, że powodem jest specyficzne stereoskopowe widzenie, właściwe pewnym jednostkom. Spostrzeżenie to skierowało uwagę lekarza na aparaty i filmy stereoskopowe. Wkrótce doszedł do przekonania, że wszystkie systemy filmów stereoskopowych oparte są na fałszywym założeniu. Mianowicie kamery do tych filmów budowano w ten sposób, aby dwie soczewki, przez które rzutuje się obraz na ekran były rozstawione w tej samej odległości, co oczy ludzkie. Dr. Reynders przekonał się, że daje to dobre rezultaty tylko przy ściśle określonym dystansie aparatu projekcyjnego od ekranu i ekranu od widza.

Wobec tego, korzystając z pomocy inż. F. A. Webera, wynalazca skonstruował podwójną kamerę o zsynchronizowanych obrotach i o ruchomych soczewkach zbliżających się i oddalających od siebie w zależności od zbliżania się lub oddalania od kamery filmowanych objektów. Jedna z soczewek tej kamery zaopatrzona jest w filtr przepuszczający jedynie pionowe wibracje światła, druga zaś w filtr przepuszczający tylko poziome. Pozytywne taśmy filmowe otrzymane ze zdięć dokonanych tą kamerą wyświetlane są jednocześnie na jeden ekran w ten sposób, aby obrazy nakładały się na siebie; oglądane przez specjalne szkła obrazy te są doskonale trójwymiarowe.

W czasie okupacji niemieckiej wynalazek dra Reyndersa, choć trzymany w tajemnicy, został opatentowany, a po wojnie patenty poszerzono na inne kraje pod nazwą „Veri-Vision-System".

Jeśli obraz wyświetlany systemem dra Reyndersa rzutowany jest na ekran systemem „grille" (który choć pochodzenia francuskiego, zwykle nazywany jest „ekranem rosyjskim"), wówczas użycie specjalnych okularów przez widza nie jest konieczne. Jak wiadomo jednak ekran ten ma zasadniczą wadę: obrazy widzi się plastycznie tylko z określonych punktów sali.

Wynalazca duński jest przekonany, że trudność tę będzie można przezwyciężyć, wymaga to jednak dalszych, kosztownych badań i doświadczeń.

Duńskie ministerstwo Nauki i Sztuki interesuje się wynalazkiem dra Reyndersa i inż. Webera. Jeśli otrzymają oni odpowiednie subsydia, można będzie niedługo oczekiwać zasadniczej rewolucji w świecie filmu. Przewrót ten byłby dalszym krokiem w kierunku całkowitego usamodzielnienia się sztuki filmowej.

STUDENCKA PIELGRZYMKA DO RZYMU

Organizuje się studencka pielgrzymka na Rok Święty, która potrwa około 10 dni. Wyjazd 26 sierpnia b.r. Dzięki pomocy Armii Włoskiej udało się obniżyć koszta pielgrzymki pociągowej do około **£ 20**, lecz tylko dla studentów. Koszta dla studentek udających się do Rzymu pociągami lub autobusami w tym samym okresie wyniosą około £ 26. Zgłoszenia do **15 lipca b.r.** do Sekretariatu studenckiego „VERITAS" 21, Earls Court Sq., S.W. 5, lub bezpośrednio do X. H. Kornackiego, 17, Penywern Rd., S.W. 5.

Do studentów z W. Brytanii dołączają również delegacje z ośrodków kontynentalnych.

PRENUMERUJCIE „ANGLO-POLISH REVIEW"

Po zaprzestaniu wydawania publikacji informacyjno-propagandowych w języku angielskim przez polskie ośrodki niepodległościowe w Londynie oraz biuletynów informacyjnych Polskiej Agencji Prasowej w Edynburgu. nie było już od dłuższego czasu na terenie W. Brytanii żadnego wydawnictwa polskiego w języku angielskim, które by informowało prasę i opinię brytyjską o sprawie polskiej.

Lukę tę wypełnia obecnie miesięcznik „Anglo-Polish Review". założony na początku bieżącego roku z incjatywy Rady Głównej (Central Council) Towarzystw Angielsko-Polskich. Zadaniem pisma jest szerzenie znajomości spraw polskich wśród społeczeństwa brytyjskiego i pogłębianie tą drogą zrozumienia dla sprawy niepodległości Polski oraz dla potrzeb Wolnych Polaków przebywających w W. Brytanii.

Aby to *jedyne* pismo informacyjno-propagandowe w języku angielskim mogło się utrzymać, koniecznym jest uzyskanie 8.000 prenumeratorów. Założyciele pisma wierzą, że połowę tej liczby dostarczą tysiączne rzesze politycznie dojrzałej emigracji polskiej. Niechaj na każdych 100 Polaków czterech zaprenumeruje pismo. a liczba ta zostanie osiągnięta.

Niska prenumerata pisma (rocznie 6/-) czyni je dostępnym dla każdego, kto pragnie przyczynić się do szerzenia wiadomości o sprawach polskich wśród społeczeństwa brytyjskiego. a komu brak jest dostatecznej znajomości języka angielskiego, a nade wszystko potrzebnych faktów i argumentów.

Zamówienia na prenumeratę należy kierować pod adresem: „*Anglo-Polish Review". 66. Elizabeth Street. London S. W. 1.*

KSIĄŻKA J. GIERTYCHA

Jak nam donosi p. Giertych, na powieść jego „W Polsce między wojnami", której przedpłata została przedłużona, wpłynęło do soboty dn. 24 czerwca 681 prenumerat, z czego 405 z Wielkiej Brytanii, 72 ze Szwecji, 69 z innych krajów europejskich, 85 ze Stanów Zjednoczonych, 26 z innych krajów amerykańskich, 14 z Afryki, 8 z Australii i 2 z Azji.

Prenumerata za całość (3 tomy) wynosi 15 szylingów; po zamknięciu przedpłaty cena książki będzie podwojona. Przedpłatę można uiszczać ratami. Zgłoszenia i przekazy pieniężne w Wielkiej Brytanii przesyłać należy wprost pod adresem autora, J. Giertych, 16 Belmont Road, London N.15.

SPROSTOWANIE

W nrze 26(157) ŻYCIA daliśmy dłuższą notatkę p.t. „Co protestant widział w Rzymie"? Było to streszczenie artykułu gen. H. G. Martin'a z „The Daily Telegraph" o Roku Świętym. Jak już z samego tytułu notatki wynikało, współpracownik nasz pisząc z uznaniem o artykule, potraktował autora jako protestanta. Tymczasem gen. Martin jest katolikiem, Generał, jeden z przyjaciół Polski w świecie angielskim, jest wybitnym działaczem katolickim i współzałożycielem zasłużonej organizacji Anglo-Polish Catholic Association (APCA). Wyrażamy więc ubolewanie z powodu naszej pomyłki. Niestety, pomyłki takie w pracy publicystycznej zdarzają się nieraz. (Niedawno naprzykład nasze londyńskie „Wiadomości", odwrotnie, zrobiły z protestanta, znanego poety i pisarza T. S. Eliot'a — katolika)...

Okolicznością łagodzącą jest dla nas bardzo oględny ton artykułu gen. Martin, który mógł wprowadzić w błąd. ‚Daily Telegraph' jest dziennikiem, obliczonym głównie na klientelę anglikańską, podkreślającym często łączność z Kościołem państwowym Anglii. Pisząc dla czytelników tego pisma, gen. Martin uczynił słusznie, nie podkreślając swej postawy katolickiej i dobierając argumenty w ten sposób, by czytelników tego pisma przekonały, a nie odtrąciły. Fakt ten sprawia, że ogólne wnioski naszego sprawozdawcy były słuszne, choć pomylił się co do osoby: artykuł gen. Martin wydrukowany na łamach pisma niekatolickiego, kładł nacisk na to wszystko, czego Rok Święty może i powinien nauczyć opinię protestancką.

REDAKCJA

Nagroda Literacka

„DZIENNIKA POLSKIEGO"

NA dziesięciolecie istnienia londyński „Dziennik Polski" ufundował nagrodę literacką w wysokości **£. 100.**

Nagroda jest niepodzielna i zostanie przyznana pisarzowi lub pisarce „o nieposzlakowanej w życiu i twórczości postawie niepodległościowej, przebywającemu lub przebywającej obecnie na uchodźtwie".

Orzeczenie jury nastąpi w dniu 12 lipca b.r. Skład jury jest następujący: Stanisław Baliński, Antoni Bogusławski, Herminia Naglerowa, Zygmunt Nowakowski i Tymon Terlecki.

Jest rzeczą godną uwagi , że w najcięższych czasach emigracji zaczyna się ruch popierania twórczości kulturalnej. Nie można nie podkreślić tego faktu, że wokół pisarza emigracyjnego zaczyna się tworzyć tak niezbędna atmosfera potrzeby jego pracy. Nic nie działa bardziej hamująco na twórcę, jak obojętność społeczeństwa i przekonanie, które na tej podstawie artysta sobie wyrabia, że nikt niczego po nim nie oczekuje, że jego sztuka jest zbędna. — Z wielkiej emigracji jako dorobek ogólnonarodowy została w ostatecznym rozrachunku „tylko" twórczość kulturalna.

Cieszymy się bardzo, że w tym ruchu w stronę pisarza i poety ma swój udział nasza instytucja i nasze pismo wraz z jego Czytelnikami. Witamy serdecznie drugą na uchodźtwie inicjatywę opieki nad pisarzem emigracyjnym.

Red. ŻYCIA

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt.** Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych** wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**. wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. **NIEMCY:** miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 **DM. ARGENTYNA:** kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P K S U VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Printed by: „Veritas Foundation Press" 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.